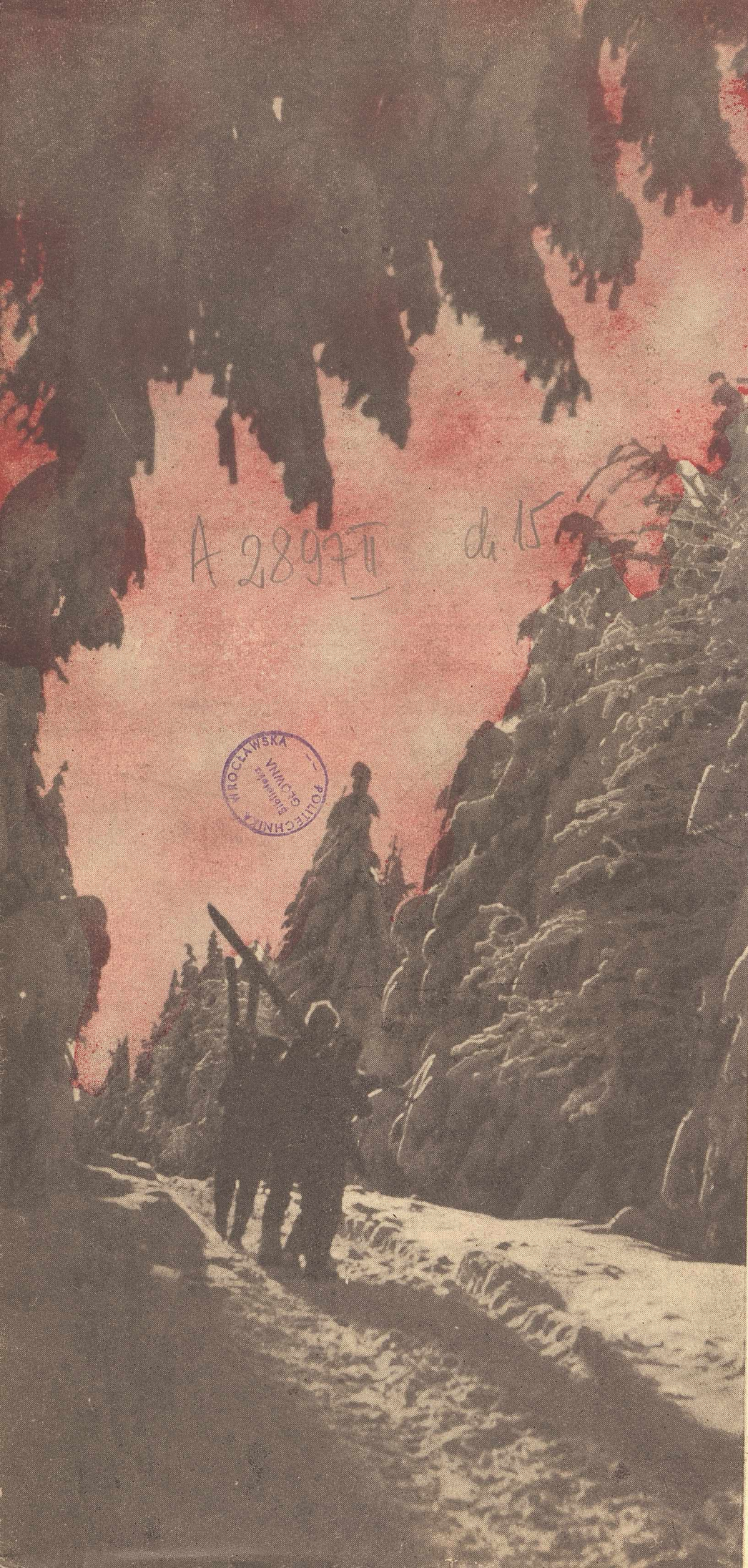


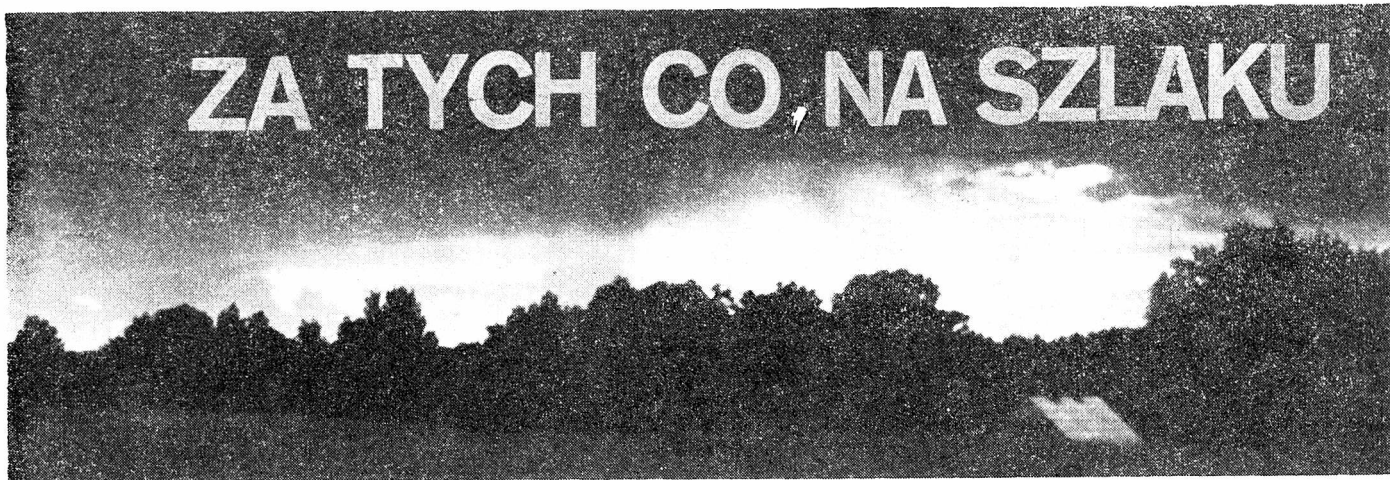
Σ 4 — 87 —
1977/78

PROBLEMOWO- INFORMACYJNY POLITECHNIKI WROCLAWSKIEJ

MAGAZYN
PROBLEMOWO-
INFORMACYJNY
POLITECHNIKI
WROCLAWSKIEJ



ZA TYCH CO, NA SZLAKU



Fot. M. GROTOWSKI

25 LAT ODDZIAŁU PTTK

JUŻ W POCZĄTKACH PRACY Oddziału wykształciły się pewne formy turystyki popularne do dzisiaj. Powstały kluby i sekcje mniej lub bardziej podatne na działanie czasu. Ich wspólną cechą było to, że tworzyły się z grup nieformalnych, na zapotrzebowanie społeczne, a znikwały wtedy, gdy zainteresowanie daną formą turystyki słabło. Jako pierwsza utworzyła się sekcja turystyki narciarskiej, a więc...

Za tych co na nartach!

Zebrań amatorów białego szaleństwa odbywały się jeszcze na kilka miesięcy przed formalnym utworzeniem Oddziału. Przyczyną był oczywiście sprzęt...

Lata powojenne były wybitnie nieprzychylnie dla narciarzy. O zakupie kompletnego sprzętu nie można było nawet marzyć. Wszystko składano z kawałków, śrubek, wiązano sznurkami.

W tym okresie miano pierwszego zaopatrzeniowca Oddziału zyskał mgr Idzi Martynowicz, który sobie tylko znanymi sposobami zdobywał potrzebne narzędzia, wiązania i buty.

W latach 54/55, kiedy komisji narciarskiej przewodniczył późniejszy długoletni prezes Oddziału — prof. Adam Cybulski, zorganizowano pierwsze kursy narciarskie, które cieszyły się wielkim powodzeniem. Chętnych było zawsze więcej niż miejsc — stąd powstała konieczność specjalnego regulaminu kwalifikacyjnego. Ustalony z inicjatywy prof. Cybulskiego regulamin przewidywał połowę miejsc dla pracowników, połowę dla studentów pierwszych lat studiów. Za najważniejszą sprawę uznano bowiem uczenie młodych ludzi

W marcu 1953 roku, w wyniku akcji Zarządu Okręgu PTTK został powołany do życia Oddział PTTK przy Politechnice Wrocławskiej. Odnotowanie tego faktu ma raczej znaczenie formalne, bo ludzi rozmiłowanych w turystyce i czynnie ją uprawiających było już wtedy na naszej Uczelni wielu. Inicjatywa powołania Oddziału trafiła na wyjątkowo sprzyjający grunt. I to jest prawdopodobnie przyczyną, że Oddział obchodzi dziś swoje XXV-lecie i stał się jako jedyna tego typu placówka we Wrocławiu, działająca przy wyższej uczelni.

12 maja 1953 roku wybrany został pierwszy Zarząd Oddziału w składzie: prezes — prof. T. BRONIEWSKI, v-ce prezes — prof. H. GUMIENNY, v-ce prezes — T. DROŹDZEWSKI, sekretarz — M. ŁAPIŃSKA-CYBULSKA, z-ca sekretarza — J. MARTYNOWICZ, skarbnik — M. ŚLUSARSKA, z-ca skarbnika — B. PESZKOWSKA, czł. zarządu — T. ZIPSER oraz komisja rewizyjna: Z. SZAFRAN, prof. E. DWORKAK, S. FULIŃSKI, R. HAJMAN.

jazdy na nartach. Obozy urządzano w schroniskach turystycznych w warunkach „utrudnionych”. Spanie — na zbiorówce, z posiłków — obiad, a poza tym — wrzątek. Było to korzystne nie tylko dla kieszeni, owo „skoszarowanie” sprawiało, że na obozach ludzie żywali się bez względu na stopnie i tytuły naukowe. Instruktorami byli z reguły pracownicy Studium WF (mgr, mgr Kucharski, Dotzauer, Natusiewicz). Obok kursów dużą popularnością cieszyły się zawsze niedzielne wyjazdy na narty, których ilość zwiększyła się wydatnie z chwilą uzyskania przez Politechnikę własnego autokaru. W ciągu paru lat spośród działaczy Oddziału wyłoniła się grupa zagorzałych zwolenni-

ków narciarstwa, wśród nich dr Z. Szubert, doc. B. Bałaziński (późniejszy prezes) i wielu innych. Żeby jednak nie tylko o nartach —

Za tych co na szlaku!

Sprawą, która łączyła zawsze wszystkich posiadaczy zielonej legitymacji była turystyka górską. Uprawiano różne jej formy od najbardziej ambitnych (klub wysokogórski pod przewodnictwem prof. T. Zipsera) po masowe (wyieczki piesze, rajdy).

W początkowym okresie ogromną popularnością cieszyły się niedzielne wyieczki w góry. Mimo że wstawanie

Fot. ARCHIWUM



o trzeciej czy czwartej rano i dojazd pociągiem do miejsca wymarszu wymagał dużego hartu ducha, na wycieczkę stawiało się niejednokrotnie po kilkadziesiąt osób. Z czasem przyjętym zaczęto łączyć z pożytecznym. Od 56 roku Oddział prowadził akcję oczyszczania szlaków w Górach Sowich — czyli: „zbiórka z pilami i siekierami i hajże na chaszcze!“. W walce z bujnie trzebiącą się w owym czasie roślinnością przodował doc. Karol Tworowski i dr Tadeusz Waszkiewicz. Wiele takich wycieczek prowadził prof. Adam Cybulski (wówczas już prezes Oddziału). Towarzystwo wracało z nich umorusane, budząc grozę wśród współpasażerów pociągu.

W tym okresie zaczęły powstawać pierwsze nieformalne grupy turystyczne, które z czasem dostawały się pod skrzydła PTTK. Jedną z nich był „Klub z Indykiem w Herbie“ o dzwicznej nazwie TRAMP, założony 23. X. 55 roku, z inicjatywy doc. Wałkowieza i mgr. mgr. Mironowicza oraz Klimka. Klub traktowany początkowo z rezerwą, rozpadł się po paru latach. Pozostawił jednak w spadku pewne tradycje, żywe szczególnie na Wydziale Chemii.

W latach 60-tych dał się zaobserwować masowy rozwój turystyki górskiej, przejawiający się w organizowaniu wielkich rajdów i imprez, które samą swą nazwą zachęcały do uczestnictwa. Były więc Rajdy Politechniki, z których każdy następny bił na głowę poprzedni pod względem ilości uczestników, nocne pochody świętojańskie, rajdy pod parasolem, wyjazdy na pieczenie ziemniaków pod hasłem „podnosimy spożycie polskich jarzyn“ itp., itd. Prawie na żadnej imprezie nie brakowało doc. Wojciecha Suskiego, który „ponosi osobistą odpowiedzialność“ za wspaniałą atmosferę towarzyszącą każdemu wyjściu na szlak.

Oprócz form, w których uczestniczenie wymagało przede wszystkim zaangażowania mięśni (nie wyłączając oczywiście serca), Oddział od samego początku prowadził działalność krajoznawczą, która w bardziej wygodnej formie pozwalała poznawać uroki naszego kraju...

Za tych co w fotelach!

Jednym z przejawów tego typu działalności były wykłady z zakresu archeury, bardzo pomocne przy następnym etapie zwiedzania zabytków Wrocławia. Wykładowcami byli uczeni tej miary co prof., prof. T. Broniewski i T. Kozaczewski. Wielu uczestników kursu zdobyło po jego ukończeniu szlify przewodników po Wrocławiu. Apetyty niektórych sięgały jeszcze dalej. Kto wie czy rozmówienie w zabytkach nie stało się pierwszą przyczyną narodzin wycieczek autokarowych turystyczno-krajoznawczych, a więc następnego rozdziału w historii Oddziału PTTK.

Przez wiele lat, zwłaszcza tych najtrudniejszych, gdy Politechnika nie dysponowała jeszcze własnym autokarem, komisję prowadziła p. Marta Cybulska. Tworzyła ona zresztą klimat nie tylko na wycieczkach, ale w całym Oddziale, w którego Zarządzie pracowała przez 14 lat, zawsze wkładając w tę pracę dużo serca i pomysłowości. Były wycieczki do Lublina, Białowieży, w Bieszczady... Praktycznie byłoby zresztą wymienić miejsca, w których wycieczek nie było. Szczególnie mile wspominać są imprezy z cyklu „Jaśnie Pan Zaprasza do Zamku“, kończące się w zam-

ku Czocho, w którym uczestników podejmował „sam Jaśnie Pan“ tj. dr Ryszard Czocho (prywatnie stary turysta i działacz Oddziału PTTK).

Oprócz wycieczek popularne były również wspomnienia z wycieczek, które przybrały formę wieczorów klubowych przy kawie i ciastkach. Chodziło oczywiście o wrażenia z wojaży zagranicznych, w owym czasie znacznie rzadszych niż dziś. Ich szczęśliwi uczestnicy snuli wspomnienia w długie, zimowe wieczory. Wśród wszystkich „toastów“ pozostał do spełnienia jeszcze jeden — ten najbardziej tradycyjny:

Za tych co na morzu!

Klub żeglarski GROT okazał się być najbardziej odporny na „czynnik czasowy“. Śmiercią naturalną umierały sekcje rowerowa, w połowie padł projekt zorganizowania sekcji motorowej, ale żeglarze pływali od niepamiętnych czasów.

Jak wspomina długoletni komandor klubu doc. R. Rogala — początkiem były działania braci Kuśmidrowiczów, którzy w swym rodzinnym Kłodzku zbudowali małą łódeczkę P-7 i Nysą Kłodzką, a potem Odrą spłynęli nią do Wrocławia. Wielu kolegów i przyjaciół z pracy zachęcało tym do budowy własnych łódek. Zawiązano tzw. maszoperie (spółki ludzi budujących łódzie i korzystających z nich). Niewielka grupka ludzi zbudowała wtedy serię łódek P-15. Pierwsza „przystań“ żeglarzy mieściła się na strychu w gmachu głównym Politechniki. Tam gromadzono z trudem zdobyte materiały, budowano pierwsze łódzie i na własnych barkach znoszono je na szerokie wody. Gdy łódek było już kilka, pomyślano o przydaniu jakiejś formy świeżo utworzonej grupie. Ponieważ celem było uprawianie żeglarstwa turystycznego, trafiła ona z całym majątkiem, który stanowiły pierwsze prywatne łódki, pod skrzydła Oddziału PTTK. Cykl szkoleń prowadzony zgodnie z wymogami PTTK, sprawił, że grono amatorów zaczęło się rozrastać. Po pewnym czasie okazało się, że kilka łódek P-15 nie wystarcza. Z sekcji żeglarskiej powstał klub żeglarski „Grot“, a skoro był już klub — musiał mieć swoją flotyllę. Każdy „grotowiec“, oprócz skła-

dek członkowskich (dobrowolnych i niezależnych od składek PTTK) przepracowywał w sezonie po sto i więcej godzin na rzecz klubu. Wkrótce „Grot“ wzbogacił się o 5 łodzi znanych pod kryptonimem „L“. Pływały one na Mazurach, po Zalewie Szczecińskim, któregoś roku zawędrowały nawet do Rijeki, by „zanurzyć się“ w Adriatyku, były w Delcie Dunaju. Historia klubu GROT stanowi odrębną i niezależną kartę w historii Oddziału PTTK. Do dziś żeglarskie opowieści można posłyszeć w kambuzie — klubie żeglarzy mieszczącym się w piwnicach gmachu A-4. Nie odpływamy jednak zbyt daleko, mowa wszak o całym Oddziale.

Za tych co za biurkiem!

Nie sposób pisać o historii Oddziału PTTK Politechniki Wrocławskiej nie wspomnieć o sercu, które okazało się wymienne — a więc o prezesach:

prof. T. Broniewski (1953—1956)
prof. T. Waszkiewicz (1956—1957)
prof. A. Cybulski (1957—1966)
doc. B. Bałaziński (1966—1970)
doc. W. Kazimierzczak (1970—)

Oczywiście określenie „za biurkiem“ ma w tym przypadku znaczenie symboliczne, bo też prezesi raczej urzędowali w górach i na nartach i nie słowami lecz czynami zapisali się w historii Oddziału.

Warto też wspomnieć w tym miejscu o Sekretariacie Oddziału, który bez względu na położenie (kilkakrotna zmiana lokalu) i ogólnie panującą cisnotę pełnił rolę biura, wypożyczalni sprzętu i miejsca spotkań działaczy i sympatyków. Działalność swą rozwijał szczególnie w okresie, gdy funkcję kierownika sekretariatu pełniła p. Krystyna Ostaszkiewicz-Gąsiorowska, a dziś stanowi punkt kontaktowy, bez którego istnienia trudno byłoby się obejść.

Złe się może złożyło, że o Oddziale PTTK przy Politechnice Wrocławskiej wypało pisać dopiero z racji jego jubileuszu. Pisanie o kimś czy o czymś „ku czci i z okazji“ traci zawsze sztafę. Z drugiej jednak strony, gdyby nie jubileusz, zabrakłoby społwa wiążącego losy wspaniałych ludzi, polamanych nart, czy wycieczek w strugach deszczu, ale w niepowtarzalnej atmosferze. W powodzi faktów i danych, które i tak nie tworzą pełnego obrazu działalności Oddziału w ciągu 25 lat jego istnienia, zgubiło się być może wiele spraw ważnych, a kto wie czy nie najważniejszych. Nie ma bowiem sposobu na zarejestrowanie przeżyć, wymierzenie uczuć czy policzenie zawiązanych przyjaźni.

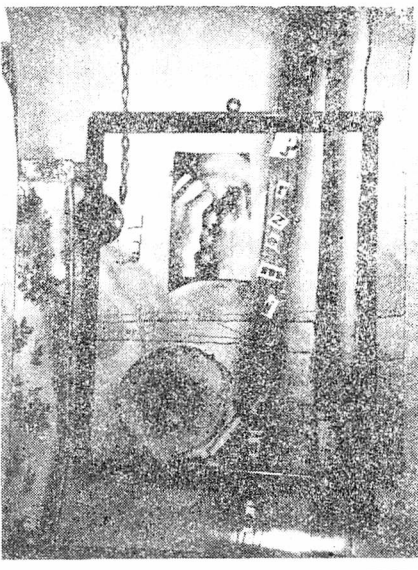
31 stycznia br. na zaproszenie doc. Wojciecha Suskiego, odbyło się spotkanie starych przyjaciół. Listę zaproszonych pozwałam sobie przytoczyć w całości, jako że znalazły się na niej nazwiska ludzi najsilniej związanych z Oddziałem PTTK, a jednocześnie zaprzyjaźnionych z gospodarzem imprezy: p.p. B. Bałaziński, M.A. Cybulscy, S. Fuliński, J. Jarmuła, W. Kazimierzczak, L. Kucharski, K.W. Mironowiczowie, E. Nowińska, K. Ostaszkiewicz-Gąsiorowska, R. Rogala, K. Skudlarski, A. Streubel, Z. Szubert, K. Tworowski, M. Wałkowiec, T. Zipser.

Fot. Z. SZRETER



poważ- ne WYDARZENIA

Wacław
Mejbaum



WIELU Z NAS ULEGA POZOROWI STEROWALNOŚCI przystępując do planowania własnych biografii. Wyobrażamy sobie, że człowiek przynajmniej w zasadzie jest władny kierować swoim losem. Kryje się za tym pewna doktryna filozoficzna (szeroko rozbudowana w pracach Warszawskiej Szkoły Etyki, do których — jak zwykle — odsyłamy bardziej wnikliwych Czytelników) opowiedziana poniżej w pożywnym skrócie.

Byłoby tak. Człowiek najpierw określa określony system wartości, które łącznie składają się na SENS życia, jakie zamierza prowadzić lub IDEAL, który pragnie zrealizować. Następnie człowiek rozgląda się za środkami potrzebnymi do realizacji wzmiankowanego ideału. Wreszcie rażno bierze się do dzieła. Pod koniec czasu, jaki Bóg dał mu do dyspozycji, może jeszcze porównać ideał z dokonaniem. Rozbieżność, którą podówczas zarejestruje, nie dowodzi bynajmniej, że życie jest niesterowalne, wskazuje jedynie, że sterowanie nie jest łatwe, a w danym wypadku to i owo spartaczono. Nie wyklucza to sukcesu w razie, gdy ktoś inny ponowi próbę realizacji tego samego ideału.

Zgodnie z pewną starą tradycją teoretyczną powiemy sobie, że zreferowana powyżej koncepcja losu ludzkiego jest całkowicie idealistyczna, a — po polsku mówiąc — załgana. Wykładając niegdyś podstawy ogólnej teorii substytucji miałem już okazję ujawnić ukrytą dialektykę życia instytucjonalnego. Nie jest mianowicie tak, że kolejne reorganizacje instytucji zmierzają do coraz pełniejszej realizacji jej pierwotnego projektu. Jest dokładnie przeciwnie: rzeczywisty cel instytucji ujawnia się stopniowo w toku działania i w pewnym dobrym sensie może być utożsamiony z pełną historią reorganizacji. Otóż wypada się zgodzić — jeżeli chcemy uniknąć idealistycznego załgania — że z życiem ludzkim jest dokładnie tak samo. Sens losu ludzkiego ujawnia się dopiero po śmierci i nikt za życia nie jest w stanie przewidzieć jak też on się ostatecznie ukonstytuuje. W znanym epitafium kominiarza z Rypina („tarł, tarł, aż zmarł”) zawarta jest apologia osobowości bogatej i ofiarnej, któż jednak mógłby lekomyślnie zaręczyć, że kominiarz już za życia wytyczył sobie cele aż tak ambitne i angażujące?

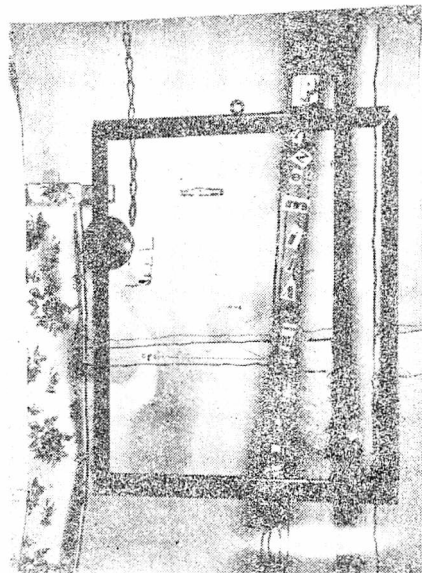
Nie jest moim zamiarem przekonywać kogokolwiek, że idealistyczna teoria losu ludzkiego sprowadza się do trywialnego błędu, który wystarczy dojrzeć, aby go przezwyciężyć. Tak, jak w wypadku każdej teorii zamkniętej w sferze pozoru, sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. Jest bowiem niewątpliwym faktem, że ludzie budują sobie określone ideały i — co więcej — przynajmniej niekiedy próbują je realizować. Otóż w żadnym razie nie zmierzam do zanegowania tego faktu. Twierdzę tylko, że cele i ideały — zarówno te uświadomione, które deklarujemy za życia, jak i nieświadomione, które składają się na sens ujawniony pośmiertnie, nie powstają w rezultacie dowolnego wyboru, lecz kształtują się w toku wcześniejszej praktyki indywidualnej. Wbrew pozorom nie jest zatem tak, że ideał poprzedza działanie. Bliższa prawdy jest teza przeciwna.

Możemy obecnie odpowiedzieć wyraźnie na pytanie skąd się bierze zasadnicza niesterowalność losu ludzkiego. Rzecz w tym, że w złożonej całości, jaką stanowi człowiek, nie sposób wydzielić przedmiotu i podmiotu sterowania. Nie jest więc rozsądne wyobrażać sobie, że w człowieku wyodrębniona jest jakaś komórka nadrzędna, która — jak kapitan statku — wytycza trasę i koryguje ewentualne odchylenia. Nikt zatem nie może sterować własnym losem, aczkolwiek (co prowadzi do innego tematu) każdy może w jakiejś mierze sterować losami cudzymi.

Była już mowa o roli reorganizacji w historycznym procesie samookreślenia sensu instytucji. Podobną rolę w życiu ludzkim, jak dowiódł Borges (w traktacie „Emma Zunz”), odgrywają POWAŻNE WYDARZENIA. Poważne wydarzenie, takie jak śmierć na przykład lub kalectwo, jest faktem niezaplanowanym, nie stanowi zatem realizacji wcześniej obranego programu czy ideału. Poważne wydarzenie — jeśli tylko nie jest śmiertelne — otwiera lub zamyka pewną biografię człowieka, któremu się przydarzyło. Z tego punktu widzenia każdy z nas jest splotem wielu biografii zawężlonych w poważnych wydarzeniach, biografie te nie tworzą spójnej całości.

Niektórzy z nas dążą nierozsądnie do domykania swoich biografii: racjonalizują poważne wydarzenia przedstawiając je jako realizację wcześniej powziętego zamiaru. Postępując w ten sposób pozbawiają dane wydarzenia właściwej im powagi, sami zaś popadają w śmieszność nazbyt żalosa i wstydliwą. Rozpasani w swoim haniebnym procederze dochodzą niekiedy do bluźnierstwa przypuszczając, że Bóg zsyła poważne wydarzenia po to, aby doświadczyć człowieka. W ten sposób do nonsensów idealistycznej teorii losu ludzkiego dodają absurd idealistycznej teorii Boga, supozycja jakoby Bóg był układem sterowalnym jest wszakże już zbyt ohydna, aby warto poświęcić jej choć słowo poważnej krytyki.

Zdjęcia A: DUDEK



BYT (PRZYRODA...) I PRAWA jego rozwoju rysują przede wszystkim sieć zależności, w które uwikłana jest ludzkość i każda jednostka. Wbrew Spinozie nie jest to jednak *czysta konieczność*, bez jakichkolwiek szczelin, w których pojawić by się mogła wolność — skarży się, a może cieszy Janusz Kuczyński w wydanej niedawno pracy (*Homo creator*. Wstęp do dialektyki człowieka. W-wa, 1976).

Wyobrażenia o wolności są zawsze na miarę ludzi, którzy je tworzą. Wolność jednostki w ujęciu Kuczyńskiego do złudzenia przypomina wolność śliwki w kanalizacji. W obliczu tego, zgola heroicznym zadaniem wydaje się być opis człowieka jako jednostki twórczej i samowiednej. Nagrodą zaś tylko satysfakcja ze stworzenia systemu filozoficznego. Wedle reguł wszelkiej dotychczasowej historiozofii rozpoczyna Kuczyński rozważania od ustalenia różnicy jaka, w jego mniemaniu, dzielić ma ludzi od zwierząt. Wprawdzie lat temu z górą sto trzydzieści powiedziano zasadnie, że człowieka od zwierząt można odróżnić ze względu na cokolwiek, lecz sam się odróżnia tworząc materialne warunki swojej egzystencji, to oryginalna myśl Kuczyńskiego zdaje się zmierzać innymi drogami. Wiedzie ona ku temu, by z historii wyeliminować materialny wysiłek ludzi na rzecz ludzkiego myślenia i... uczuć. Perspektywa ta pozwala losy ludzkie modelować dowolnie, sympatycznie i miło — wymuszając na historii radosny i szczęśliwy finał ogólnego zbratania. W tym miłosnym zjednoczeniu — o paradoksie! — świat zewnętrzny traci swój zewnętrzny sens, czyli co w sercu, to i na dłoni.

Alianse przemysłów Kuczyńskiego są rozległe. Patronują temu stanowisku polscy filozofowie romantyczni, tacy jak Cieszkowski, Trentowski, Libelt, ale nade wszystko Stanisław Brzozowski. Otóż w myśl tych zapożyczeń osobliwości marksizmu ma być przekonanie o aktywnej, a raczej decydującej roli świadomości w procesie historycznym. Wykład tego stanowiska rozpoczyna Kuczyński przemysleniami na temat rewolucji naukowo-technicznej, które prowadzą go do przekonania, iż zasadniczym elementem sił wytwórczych jest ludzka świadomość. Rozwój ich zależy od tego *jak* ludzie pracują, a zatem... „owo istotne *jak* zależy przecież właśnie od wiedzy, talentów i charakterów, które nie są niezmiennie, a także od poglądów naukowych, ekonomicznych i politycznych”.

Ujęcie to doprowadza do skrajnego już psychologizmu Stalinowsko-Langeeowską interpretację sił wytwórczych. „Rola myśli — pisze — w procesie pełnego uczłowiczenia człowieka — tak można by dziś straszczyć tytuł słynnej pracy Engelsa — jest ogromna; chodzi przy tym nie tylko o myśl zakrzepłą w narzędziach, ale także o proces myśli, o żywą myśl w samym procesie pracy”. Explicite stwierdza, że czynna rola świadomości to nic innego jak tylko pryncypialna „zasada” materializmu historycznego i że w „konstrukcji intelektualnej marksizmu jest ona jednym z istotniejszych lub nawet najistotniejszych elementów wyjściowym. Zawarta jest w stwierdzeniach o czynnej roli podmiotu w procesie poznania, w profetycznych określeniach roli filozofii i teorii”...

Wywody swoje podpira tendencyjną interpretacją znanych listów Engelsa do Konrada Schmidta (z 5. 08. 1890 r. i

WOLNOŚĆ W SZCZELINACH BYTU

Jacek Rąb

Andrzej Raciborski

27. 10. 1890 r.) i Józefa Blocha (z 21-22. 09. 1890 r.) i równie woluntarystycznej interpretacji poddaje leninowską naukę o partii, iż: „Bez rewolucyjnej teorii niemożliwy jest również ruch rewolucyjny”. Prowadzi go to prostą drogą w stronę idealizmu subiektywnego rodem z „Filozofii czynu” czy lepiej — filozofii Fichtego, wyrażającego się w przekonaniu, iż „granica między bytem społecznym a świadomością nie jest absolutna”. W obliczu tej tezy staje się już ewidentne, iż żadne znane stwierdzenie materializmu historycznego nie da się utrzymać. Otwarta natomiast pozostaje droga dla futurologicznych wizji i projektów. Snuje więc w nawiązaniu do „Nowego wieku” Henri van Liera „prosocjalistyczną teorię konwergencji” rozumianą jako obiektywną integrację cywilizacji kapitalistycznej i socjalistycznej głoszącej indywidualizm jako wyraz „obrony człowieka przeciwko anonimowości kultury masowej i przeciwko reifikacji”. W tej samej konwencji humanistycznej futurologii utrzymane są jego projekty komunizmu również będące reakcją na „urzeczwienie” stosunków międzyludzkich.

Komunizm bowiem traktowany jest jako stanowienie autentycznych więzi narodowych. „Jest to więc determinowana oczywiście przez ekonomiczne, historyczne, społeczne uwarunkowania, wspólne interesy materialne i wspólne zainteresowania kulturowe, ale szczególnie charakter tej więzi polega na tym, że tworzą ją określone wartości”. Dzieje się tak dlatego, że komunikacja między jednostkami dokonywa się za pośrednictwem wartości. Rozpoczyna Kuczyński swoje uwagi od tradycyjnego w historiozofii antropologicznego podziału stosunków społecznych na personalistyczne i zreifikowane. Przy czym dyferencjacja ta nie ma już śladu materialistycznych kontekstów. Stosunki personalistyczne, w tym ujęciu, to miłość i jej pochodne: sympatia, solidarność, koleżeństwo, braterstwo; stosunki rzeczowe natomiast to stosunki obojętności bądź też nienawiści. Pierwszy rodzaj stosunków odkrywa Kuczyński w tzw. „cogito socjalistycznym” modelu, który likwidować ma wewnętrzną dezintegrację indywiduum. „Cogito socjalizmu jest więc odnalezieniem tożsamości człowieka w pracy i wspólnocie”. Najwyższą natomiast formą wspólnoty jest ojczyzna. Powtarza tu Kuczyński bez mała dosłownie

libeltowską charakterystykę „rozcłoni ojczyzny” z rozprawki „O miłości Ojczyzny”. Ojczyzna w tym ujęciu staje się tworem, który pozwala „pozytywnie” rozwiązać Kuczyńskiemu problem jednostka — społeczeństwo. „Ojczyzna socjalistyczna — pisze — dzięki społecznym i kulturowym przeobrażeniom umożliwia wyparcie stosunków urzeczwienia, będąc podstawą autentyczności międzyludzkich stosunków: jednostki jawią się tu jako najwyższe wartości wspólnoty, która jest również wartością najwyższą (...). W stosunku do ojczyzny realizujemy w pełni swą ludzką istotę i zyskujemy szanse wszechstronności”. Tak więc komunizm w ujęciu Kuczyńskiego polegać ma na tym, iż w „narodzie” w toku jego historycznego rozwoju pozostawać ma „czysta narodowość” (ojczyzna), niepowtarzalność bycia Polakiem, Rosjaninem, itd., itp., czyli po prostu naród to olbrzymi „potencjał miłości”, miłości skierowanej do „swoich”. Tylko na tej drodze, uważa Kuczyński, stosunki wyalienowane mogą zostać zastąpione autentycznymi relacjami osobowymi, czyli „czystą” więzią narodową. Ta „czysta” więź narodowa to nade wszystko odwiecznie konstytuująca naród tradycja, która nie zawsze była w pełni uświadamiana. Rzecz radykalnie ma się zmienić w socjalizmie, gdzie stanie się ona motorem jego rozwoju, tworząc stosunki międzyludzkie zasadzające się na miłości. Engels zauważa jednak, że: „tradycja jest wielką siłą hamującą, jest siłą bezwładności w dziejach. Ale jest to siła tylko bierna i dlatego musi ulec”. Ulegnie oczywiście zmianie, jak zauważa autor „Rozwoju socjalizmu...” wskutek gruntownych przeobrażeń ekonomicznych. Tych ostatnich Kuczyński natomiast nie dostrzega, dlatego też z konieczności, zmuszony jest więź narodową ideologizować.

Kuczyńskiego odczytywanie komunizmu przez pryzmat kategorii narodu nie jest z pewnością oryginalną koncepcją, ale bezsprzecznie jest to pogląd, którego lekceważyć nie sposób. Stanowi bowiem racjonalizację świadomości potocznej i w tym sensie jego konsekwencje mają wyraźnie polityczny charakter. Jak wskazuje historia polskiego ruchu robotniczego, spór wokół tego co klasowe i tego co narodowe, nie był problemem bez znaczenia.

Powróćmy jednak do naszych szczelin. Ambicją Kuczyńskiego jest takie kreowanie i modelowanie świata, żeby świat stał się jedną wielką szczeliną indeterminizmu — czystą dziurą wolności: „wówczas dopiero będzie można mówić o realnej i wzbogacającej człowieka jedności ze światem. Człowiek, przez twórczość może nawiązać prawdziwe przymierze i porozumienie ze światem, przenikać go już nie tylko myślą, ale także uczuciem (gdy będzie niewyobcowany) i czynem — zwłaszcza w procesie kreacji”. Tak więc więź ludzi ze światem i innymi okazuje się więzią ostatecznie czysto duchową.

Skądinąd nam wiadomo, że źródłem wszelkiej więzi społecznej jest więź produkcyjna i wolność ludzi jest ich wolnością w procesie produkcji. Dedukowanie przez J. Kuczyńskiego wolności ludzkiej ze złożoności biologicznej człowieka i determinizm świata jest metafizyką w najgorszym sensie tego słowa. Pogląd ten kreuje wprawdzie Kuczyńskiego na terapeutę i ideologa gatunku ludzkiego, ale my osobiście w tej kwestii ufamy bardziej lekarzom z przychodni rejonowej.

W PRACOWNIACH NASZYCH UCZONYCH

niebezpieczne promieniowanie

Postęp dokonujący się w nauce i technice jest źródłem potencjalnego zagrożenia, nawet wtedy, gdy zgodnie z najbardziej szczytnymi założeniami, wykorzystany zostanie dla dobra ludzkości. Człowiek wprowadzając nowe techniki wywołuje zakłócenia w swym naturalnym środowisku. Aby nie spowodować zmian nieodwracalnych, musi sprawy te kontrolować i przeciwdziałać im.

Jednym z czynników stanowiących bezpośrednie zagrożenie dla organizmów żywych jest pole elektromagnetyczne o wysokiej częstotliwości. Nad zwalczaniem jego szkodliwych wpływów pracują całe sztaby lekarzy i techników.

Zespół w składzie dr inż., dr inż. Tadeusz Babij, Hubert Trzaska i mgr inż., mgr inż. Eugeniusz Grudziński i Włodzimierz Wadowski z Instytutu Telekomunikacji i Akustyki Politechniki Wrocławskiej od przeszło 10 lat zajmuje się zagadnieniami miernictwa pola elektromagnetycznego o wysokiej częstotliwości. Dziś rozmawiać będziemy z dr inż. Tadeuszem BABIEM — kierownikiem zespołu.



Fot. Z. TRZCIŃSKI

— Panie Doktorze, wiele się ostatnio pisze na temat szkodliwości oddziaływania pola elektromagnetycznego na organizm. Czy dzieje się tak dlatego, że rozwój techniki powoduje zwiększenie potencjalnego zagrożenia z tej strony, czy też dlatego, że dopiero niedawno udało się ten szkodliwy wpływ zlokalizować?

— O tym, że pole elektromagnetyczne wywiera wpływ na organizm, wiadano już w latach 20-tych. Zaobserwowano wtedy, że wśród radiotelegrafistów, którzy poddani byli długotrwałemu działaniu tego pola występują pewne niespotykane objawy chorobowe, które wtedy określono ogólnikowo chorobą radiotelegrafistów, jak senność, „sympkość w oczach”, choroby serca. Później stwierdzono, że stosunek urodzin dziewczynek do chłopców był wśród tej grupy zawodowej większy niż normalnie.

W latach 30-tych w Polsce, a także w innych krajach, prowadzono bardzo szerokie badania nad oddziaływaniem pola elektromagnetycznego na organizm. Efektem ich było to, że zaczęto wykorzystywać pole elektromagnetyczne do celów leczniczych.

W latach 50-tych w USA, ZSRR i w Polsce, wyszła norma określająca niebezpieczny poziom pola elektromagnetycznego z punktu widzenia organizmów żywych. Różnice między normowanymi wartościami miały się jak 1:1000 (np. w USA poziom ten określono na $10 \mu\text{W/cm}$, a w ZSRR — na 10 mW/cm). Wynikało to prawdopo-

dobnie stąd, że Amerykanie uwzględnili tylko ewidentnie szkodliwy dla zdrowia czynnik oddziaływania pola elektromagnetycznego, a mianowicie efekty termiczne. W ZSRR uwzględniono dodatkowo efekty pozatermiczne, których działanie nie zostało jeszcze w dostatecznym stopniu zbadane.

Obecnie USA i ZSRR prowadzą wspólne badania, w których bierze udział ośrodek w Seattle i ośrodki w Kijowie i Leningradzie. Badania mają na celu ustalenie wspólnych i jednolitych norm, obowiązujących na całym świecie. Zagadnienie to stało się o tyle istotne, że przewiduje się przekazywanie energii mikrofalowej z przestrzeni kosmicznej na ziemię. Energia ta, pobierana z ogniw słonecznych umieszczanych na satelitach, zamieniana byłaby na energię mikrofalową i w tej postaci przesyłana na ziemię, gdzie następowaloby jej przetwarzanie na energię o częstotliwości sieci przemysłowych. Gdyby do tego doszło, skala, w jakiej ludzie stykaliby się z silnymi polami elektromagnetycznymi, uległaby znacznemu rozszerzeniu. To tłumaczy chyba ostatnio obserwowane duże zainteresowanie tym problemem.

— Problem ustalenia co jest szkodliwe dla zdrowia, a co nie, jest chyba sprawą medyczną. Jaki udział w tym zagadnieniu ma elektronika?

— Bardzo prosty — dostarczenie przyrządów, które pozwoliłyby mierzyć natężenie pola elektromagnetycznego, zwłaszcza w obszarze bliskim. A to

już nie jest sprawa prosta i można powiedzieć, że do tej pory nie została jeszcze rozwiązana w sposób zadowalający w skali światowej.

— O ile wiem, współpracuje Pan w tym zakresie wraz ze swym zespołem z National Bureau of Standards w USA.

— Tak. Zaczęło się to zresztą całkiem niewinnie. Istniała w kraju potrzeba opracowania miernika do pomiarów pola elektromagnetycznego z punktu widzenia jego szkodliwego oddziaływania na organizm. W 72 roku na Międzynarodowej Konferencji w Warszawie wspólne z dr Trzaską przedstawiliśmy referat dotyczący dokładności pomiaru pola elektromagnetycznego w obszarze bliskim. W trakcie konferencji Amerykanie zwrócili się do nas z propozycją nawiązania współpracy, a do formalnego podpisania umowy doszło w roku 73. W roku 76 Amerykanie wystąpili w sprawie rozszerzenia umowy, która dotyczy analizy dokładności pomiaru składowych pola elektromagnetycznego o dużych wartościach niebezpiecznych dla organizmu.

Od półtora roku zagadnienie stało się szczególnie aktualne nie tylko z punktu widzenia ochrony organizmu przed szkodliwym działaniem tego pola, ale okazało się, że przy jego pomocy można niszczyć komórki rakowe, a ściślej — zlokalizować rozprzestrzenianie się raka we wczesnym stadium jego rozwoju.

W trakcie umowy byłem przez pół roku na stypendium w Stanach Zjednoczonych. Wyniki prac prezentowane były na międzynarodowych konferencjach w USA. Dwa referaty były przedstawione jako Invited Paper, które jak wiadomo są traktowane jako wyróżnienie i dowód uznania dla prowadzonych prac.

Ostatnio w ramach współpracy międzynarodowej zwrócili się do nas Szwedzi, prosząc o przyjęcie do Instytutu w celu zapoznania się z wynikami prac prowadzonych w naszym zespole.

Prace prowadzone w ramach umowy z USA są wykorzystywane również i u nas przy wytwarzaniu mierników pola elektrycznego i magnetycznego niebezpiecznego dla organizmu. Problemem jest w tej chwili to, że nie mamy możliwości wykonania wszystkich zamówień i szukamy wykonawców poza Politechniką. Ostatnio zamówienie na nasz miernik zgłosiła przez Centralę Handlu Zagranicznego Finlandia.

— *Panie Doktorze, na czym polega złożoność zagadnienia pomiaru pola elektromagnetycznego w obszarze bliskim. Bo że nie jest to sprawa prosta — wynika z Pana poprzedniej wypowiedzi. Jak widać, nie bardzo sobie jeszcze radzą z tym problemem nawet kraje o wysokim stopniu rozwoju techniki.*

— W obszarze bliskim nie ma jednoznacznej z góry określonej analitycznej zależności pomiędzy składowymi pola elektromagnetycznego, w szczególności dotyczy to źródeł o złożonej strukturze. Istnieje w związku z tym konieczność rozdzielnego pomiaru pola elektrycznego i magnetycznego. W polu bliskim linia transmisyjna pomiędzy anteną pomiarową a odbiornikiem nie może być wykonana z materiałów przewodzących tak jak przy pomiarze w obszarze dalekim. W związku z tym zachodzi konieczność budowy linii transmisyjnych między anteną a odbiornikiem pomiarowym w postaci linii transparentowej, przeźroczystej dla pola elektromagnetycznego o dużej częstotliwości. Ponadto ze względu na szybko zmieniające się pole elektromagnetyczne w pobliżu pierwotnych i wtórnych źródeł promieniowania należy budować anteny o możliwie małych wymiarach geometrycznych w stosunku do najwyższej częstotliwości pomiarowej. Z kolei ze względu na możliwość występowania harmonicznych w pobliżu źródła promieniowania, w przypadku wielu źródeł promieniujących, trzeba mierzyć pole elektromagnetyczne w możliwie szerokim zakresie. Na skutek dochodzenia do punktu promieniowania odbić z różnych kierunków następuje konieczność budowy czujnika pomiarowego o sferycznej charakterystyce promieniowania.

Czujnik powinien mieć zatem dużą czułość, możliwie małe wymiary, sferyczną charakterystykę promieniowania i dużą szerokopasmowość. Niektóre z tych wymagań są sprzeczne, np. duża czułość i małe wymiary. W skali światowej problem ten nie został rozwiązany w sposób zadowalający. W ramach naszego zespołu badawczego staraliśmy się dolożyć tu swoją cegiełkę.

— *Badania prowadzone w Pana zespole spotykają się z bardzo pozytywnymi opiniami. Trzymam przed sobą pismo przewodniczącego sekcji pomia-*

rów sekretariatu URSI dr R. C. Bairda, w którym bardzo wysoko ocenia on prowadzone przez Was badania.

— Cieszy nas uznanie naszych prac w kraju i za granicą. Gdybym jednak sam miał ocenić naszą działalność, to raczej traktowałbym ją jako mieszanie stresów i sukcesów. Czasem się zastanawiam, czy również nie miał racji w tym względzie kpiarz wszechczasów — G. B. Shaw, mówiąc, że: „nauka jest zawsze zła, bo rozwiązanie jednego problemu powoduje powstanie dziesięciu następnych”.

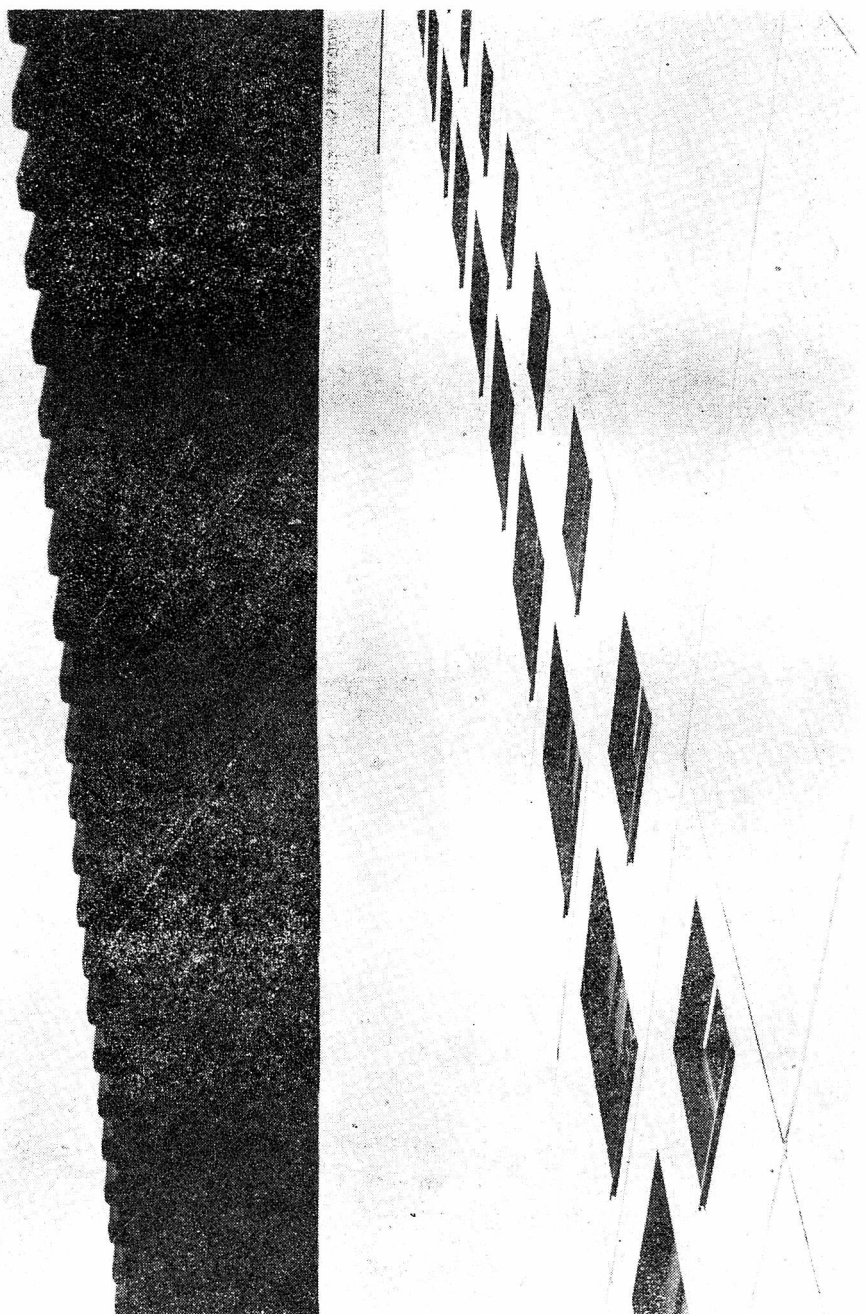
— *Te następne problemy są jednak źródłem inspiracji naukowej. Jakie są w związku z tym Pana plany na przyszłość?*

— W najbliższych latach przewiduje się rozszerzenie zakresu pomiarowego naszych czujników na częstotliwości powyżej 4000 MHz, przy dalszej ich miniaturyzacji. Planujemy również opracowanie indywidualnych wskaźników, które mogłyby być umieszczone np. w kłapach, budowę dozymetrów — czyli przyrządów wskazujących iloczyn mierzonej wartości pola i czasu. Dalszym etapem będzie akumulacja w pamięci komputera mierzonych wartości.

— *Życzę wobec tego sukcesów w dalszej działalności, nawet gdyby rozwiązanie tych problemów miało wygenerować 10 następnych.*

MAŁGORZATA KRAMKOWSKA

Fot. J. BORTKIEWICZ



SPOTKANIA

IRLANDZKIE

OD DŁUŻSZEGO JUŻ CZASU trwa współpraca między Wydziałem Informatyki i Zarządzania oraz Instytutem Organizacji i Zarządzania Politechniki Wrocławskiej a Wydziałem Handlu (Faculty of Commerce) University College Dublin w Irlandii.

Wydział ten prowadzi kształcenie studentów w zakresie zarządzania formami i korporacjami gospodarczymi oraz administracji finansowej. Na pierwszy rok przyjmuje około 250—300 studentów. Studia te są prowadzone jako dzienne inżynierskie (trzyletnie) i magisterskie (pięcioletnie) oraz wieczorowe inżynierskie (trzyletnie). Poza tym rozwijane są studia podyplomowe. Proces kształcenia obejmuje podstawy teoretyczne z zakresu systemów zarządzania, badań operacyjnych, polityki finansowej, rachunkowości, ekonomii, polityki społecznej, informatyki. Semestralny program studiów nie przekracza 25 godzin obowiązkowych zajęć na uczelni. Przeważają aktywne formy nauczania, tj. seminaria, laboratoria oraz projekty własne — jako samodzielna praca studentów, które w szczególności bazują na opracowaniach rozwiązań informatycznych dla potrzeb businessu i zarządzania korporacjami.

Uczelniany ośrodek komputerowy jest wyposażony w komputer IBM 1620 oraz IBM System/360 Model 50 rozwinięty w system wielodostępny, którego duże laboratoria końcówek komputerowych umieszczone są na wydziałach dla potrzeb studentów pierwszych kursów jak i wyższych lat studiów. Laboratoria te umożliwiają opracowanie języka podstawowego Fortranu jak również języków problemowo-zorientowanych APL, umożliwiających wykonywanie samodzielnych zadań problemowych i obliczeniowych dla celów zarządzania.

Końcowy etap studiów obejmuje wykonanie pracy dyplomowej w oparciu o tematykę uzyskaną w ramach umów zawartych między korporacjami gospodarczymi a Wydziałem.

Do obowiązków studentów realizujących prace należy próba ich wdrożenia. Poza tym wiąże się także z możliwością ich właściwego zatrudnienia.

Zatrudnienie absolwentów może napotykać na pewne trudności wynikające z występującej w danej chwili koniunktury gospodarczej. Trzeba jednak stwierdzić, że absolwenci tego kierunku stosunkowo najłatwiej znajdują pracę.

Młodzież akademicka reprezentuje różne środowiska społeczne, a także i różne kraje. Zagraniczni studenci w szczególności pochodzą z krajów rozwijających się. Tak jak i w naszym kraju część z nich otrzymuje stypendia, uzależnione przede wszystkim od dochodowości rodziców. Część z nich zwolniona jest z opłat, które wynoszą średnio 120 funtów irlandzkich (równych angielskim). Studenci w zasadzie mieszkają u rodziców bądź na stacji. Na



Dziekan Wydziału Handlu prof. Michael Mac Cormac.

terenie uczelni jest bardzo dobra i stosunkowo tania stołówka dla pracowników i studentów.

Studenci posiadają swoje własne stowarzyszenia i klub oraz ulubione puby, w których spotykają się często z profesorami i wykładowcami. Do tradycji i obyczajów akademickich należy kultuwanie życia towarzyskiego między studentami a personelem nauczającym poprzez organizowanie wspólnych spotkań, przyjęć, wycieczek. Często można spotkać na przyjęciu wydawanym przez dziekana lub profesora dość liczną grupę studentów.

Zespół pracowników prowadzących zajęcia dydaktyczne pochodzi z różnych krajów i różnych środowisk akademickich. Dziekanem Wydziału Handlu w UCD jest wybitny specjalista w zakresie zarządzania, międzynarodowy ekspert w sprawach business administration, prof. dr Michael Mac Cormac (studia odbył w Irlandii, Anglii oraz w USA). Jest on doradcą instytucji rządowych w zakresie zarządzania oraz doradcą korporacji gospodarczych w zakresie polityki finansowej i inwestycyjnej. Jest także członkiem kierownictwa stowarzyszeń międzynarodowych. Jego Wydział prowadzi szeroką współpracę naukową z różnymi uniwersytetami USA, Wielkiej Brytanii oraz krajów rozwijających się, takich jak Nigeria.

Profesor Mac Cormac dwa lata temu złożył wizytę w Politechnice Wrocławskiej, gdzie miał okazję wymienić doświadczenia w zakresie badań naukowych oraz realizacji programów dydaktycznych na Wydziale Informatyki i Zarządzania. W czasie tego pobytu przeprowadził bardzo interesujące seminarium z problematyki marketingu. Rezultatem tej wizyty i nawiązanej współpracy jest systematyczna wymiana pracowników naukowych dla prowadzenia zajęć dydaktycznych. Zapoczątkowana ona została wyjazdem kol. Jerzego Płocińskiego, który przez trzy miesiące prowadził w Dublinie wykłady z Systemów Informatycznych Zarządzania oraz prace badawcze przy współudziale pracowników Wydziału Handlu nad wyznaczaniem trasy przewozów towarów

dla firmy spedycyjnej. Wykłady jego cieszyły się dużym zainteresowaniem i zyskały wysoką ocenę ze strony kierownictwa Wydziału.

W grudniu ubiegłego roku odwiedził Irlandię prof. Wiesław Grudzewski — dziekan Wydziału Informatyki i Zarządzania Politechniki Wrocławskiej, który przeprowadził szereg rozmów z kierownictwem uczelni i wydziału oraz władzami Uniwersytetu w Galway i spotkał się wielokrotnie ze studentami. W trakcie swego pobytu wygłosił cykl wykładów i prowadził seminaria z zakresu zastosowania komputerów do planowania i zarządzania organizacjami gospodarczymi.

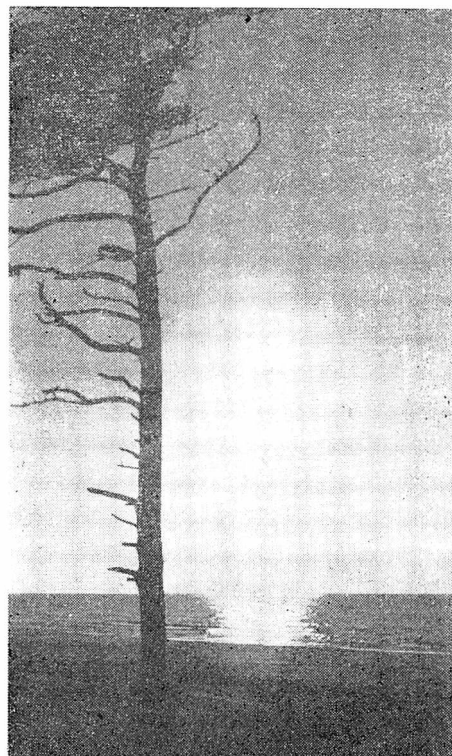
W wyniku tej wizyty uzgodniono kontynuowanie wymiany bezdewizowej profesorów i wykładowców między UCD a naszą Uczelnią, którzy będą prowadzili wykłady z zarządzania dla specjalności systemy informatyki naukowo-technicznej studentów Wydziału Informatyki i Zarządzania dobrze znających język angielski. Ponadto Uniwersytety w Galway i Dublinie zainteresowane są wymianą studentów na praktyki i obozy naukowe w zakresie zarządzania. W dalszym etapie przewiduje się podejmowanie wspólnych prac naukowo-badawczych.

Irlandia jest „zielono-szmaragdową wyspą”, którą zamieszkują ludzie charakterem, sposobem bycia oraz stylem myślenia, a także ze względu na bardzo bogatą i podobną przeszłość historyczną, bardzo zbliżeni do Polaków.

Rozwijająca się wymiana handlowa (90% węgla sprowadzanego z zagranicy pochodzi z Polski) i zapoczątkowana wymiana kulturalna i naukowa stwarza warunki dla kontynuowania i podnoszenia poziomu tej współpracy. Wydaje się, że każdy Polak znajdzie w Irlandii gorących i oddanych przyjaciół, zawsze szczerze podziwiających nasz kraj i nasze osiągnięcia.

G.H.

Fot. P. LEWANDOWSKI



O GÓLNE RZECZ BIORĄC, interpretację można rozumieć na dwa (co najmniej) sposoby: jako 1) konstruowanie modelu semantycznego teorii

i jako 2) wyjaśnienie pewnego zdarzenia bądź prawidłowości, na które to rozumienie wskazuje etymologia interesującego nas terminu (interpretatio = wyjaśnienie, tłumaczenie, przekład). I z interpretacją jako synonimem wyjaśniania mieliśmy do czynienia w przykładach podanych w poprzednich częściach. Tak rozumiana interpretacja występuje również często w obrębie nauk humanistycznych, jak i przyrodniczych; kiedy mówimy o interpretacji danych, obserwacji, idei, poglądów, znaków, itd., to mamy na myśli ich wyjaśnienie, tzn. odpowiedź na pytanie: dlaczego dane charakteryzują się takimi a takimi cechami? dlaczego treść idei jest właśnie taka? dlaczego znak ma taką, nie inną, postać? itp. Tak rozumiana interpretacja nosi na gruncie nauk humanistycznych nazwę „interpretacja humanistyczna”, a jej zadaniem jest wyjaśnianie cech i czynności, tj. odpowiedź na pytania: *dlaczego X podjął czynność C? dlaczego wytwór czynności X-a posiada cechę P?* Najważniejszym członem przesłanek wyjaśniających interpretacji humanistycznej jest tzw. założenie o racjonalności, które w sformułowaniu Jerzego Kmity, niewątpliwie ścisłym, acz nie grzeszącym komunikatywnością, brzmi następująco: *Jeśli X (w czasie t) podjął ma jedną z czynności $C_1, \dots, C_n$, które na gruncie jego wiedzy (w czasie t) wykluczają się i (łącznie) dopełniają oraz niezawodnie prowadzą — odpowiednio — do rezultatów $S_1, \dots, S_m$ ($m \leq n$), a przy tym rezultaty $S_1, \dots, S_m$ uporządkowane są przez charakterystyczną dla X-a (w czasie t) relacją preferencji, to X (w czasie t) podejmie czynność C_i ($i = 1, \dots, n$) związaną z dominującym (tj. najwyższym preferowanym) rezultatem S_j ($j = 1, \dots, m$)*. Do tego założenia dołącza się zdania konkretyzujące poprzednik implikacji, czyli tzw. warunki początkowe, tj. opis charakterystycznej dla danej osoby relacji preferencji (np. że poczucie bezpieczeństwa jest bardziej cenione przez tę osobę od przyjemności związanej z jedzeniem słodczy, a znajomość kina włoskiego od opalenizny) oraz opis wiedzy tej osoby, określającej sposoby osiągnięcia preferowanych rezultatów (cicho się więc zakłada, iż relacja preferencji jest relacją przechodnią, co jest założeniem bardzo ryzykownym), tj. np., że poznać kino włoskie można poprzez oglądanie włoskich filmów i lekturę odpowiednich pism i książek, a poczucie bezpieczeństwa osiąga się poprzez założenie zamków w drzwiach, otwarcie konta, czy wyjście za mąż. Teraz, z założenia o racjonalności oraz warunków początkowych wynika logicznie odpowiedź na postawione pytanie.

Z taką właśnie procedurą mieliśmy do czynienia w podanych przykładach; chodziło o odpowiedzi na takie m.in. pytania: dlaczego dane archeologiczne, pochodzące z ziem polskich, podobne są do wyrobów germańskich? dlaczego okrzyk „hej!” zabrzmiał tak jak zabrzmiał? dlaczego wiersz Norwida nosi tytuł „Wczora-i-ja”? dlaczego utwór ten traktuje o głuchocie (czyli „co poeta chciał przez to powiedzieć”)? W tych dwu ostatnich kwestiach różnice w interpretacji dotyczyły, jak widzieliśmy, ustalenia relacji preferencji; według jednych najbardziej ceniona



Fot. J. BACHRIJ

O INTERPRETACJI (3) Adam Drozdek

wartością było dla Norwida (w chwili pisania wiersza) ukazanie swych przeżyć i wewnętrznych rozterek, według innych danie wyrazu swym niepokojom w związku z sytuacją w kraju. Do obu tych rezultatów wiodła ta sama droga: właśnie napisanie wspomnianego utworu. Nie musiała to być naturalnie jedyna droga prowadząca do wymienionych rezultatów oraz droga ta nie musiała wieść do tych dwu tylko rezultatów. Jednak określenie następnych, to już zadanie innych interpretatorów.

Z czasami interpretatorzy różnią się odmiennie zrekonstruowaną nie relacją preferencji, a wiedzą twórców analizowanych dzieł. Przykładem tego mogą być przytoczone interpretacje kilku ważnych wersetów Pisma św. Otóż autorzy tych słów pisali, jak rzeczy doktryna, pod wpływem boskiego natchnienia, zatem trudno ich słowa podawać w wątpliwość. Kto jak to, ale oni bez wątplenia wiedzieli, jak to właściwie z tą Ziemią jest. Oni na pewno są ponad potoczne obserwacje, które właściwie tylko przypadkiem potwierdzają słowa natchnionych. Wiedza ich, którą porównać można jedynie z wie-

dzą demona Laplace'a, jest pewna, ab-solutna, niezawodna. Jednak podważenie łaski bożej, a w konsekwencji nie-omyślności twórców wersetów biblijnych, powoduje inną rekonstrukcję ich wiedzy. Byli to tak samo omylni, jak my, ludzie, zatem jak i nas mamili ich złudzenia, wiodła na manowce o-czywistość. Wiedzieli co wiedzieli i co zobaczyli opisali. Nie ma więc powodu, by ze słów Biblii czynić ostateczny dowód, jedynie zasadne oparcie.

Jak widzieliśmy, odmiennność rekonstrukcji wiedzy twórców Biblii u różnych interpretatorów nie była dziełem przypadku. Egzegeza ortodoksyjna determinowana była głównie względami ekonomicznymi i społecznymi, interesami klas rządzących. One ukierunkowały sposób analizy, ograniczały możliwości interpretacyjne. Ci, których uwarunkowania społeczne nie pchały do takiej tylko analizy, którzy wychowani byli w odmienniejszej atmosferze światopoglądowej, zdolni byli do odmiennego spojrzenia na ongiśjszych twórców, na zasób ich wiedzy. Wierzący traktowali słowa Pisma ortodoksyjnie, co nie przytrafiało się niewierzącym.

Różne światopoglądy i idee, różne „założenia i uprzedzenia interpretacyjne” itp. określały również spojrzenie na wiersz Norwida, określały konstrukcję świata wartości poety. Te „założenia i uprzedzenia interpretacyjne”, które można określić również (za J. Kmity) teorią systematyzującą merytorycznie interpretację, determinują konkretne podstawienia założenia o racjonalności. Ale takich założeń, takich teorii istnieć może mnogość nieskończona. Są wśród nich takie, które potwierdzone są przez ogromną klasę zjawisk i takie, których nic jeszcze nie potwierdziło ani nie obaliło (tych ostatnich wiele jest w matematyce i logice). Jest jednak pewna klasa takich, których uznanie uważa się czasem za co najmniej nierozsądne: to te, które mają jedną tylko ewidencję empiryczną. I wyjaśnieniem ad hoc, a zatem niepoprawnym, nazywa się takie wyjaśnienie, które opiera się na teorii posiadającej jako swe jedyne poparcie empiryczne wyjaśniany fakt. Nie ma chyba jednak potrzeby zbytniego oburzania się na tego rodzaju wyjaśnienia. Każda teoria powinna spełniać przede wszystkim trzy warunki: musi być niesprzeczna, prawdziwa i użyteczna (pozostają właściwie tylko dwa ostatnie warunki: teoria prawdziwa jest na pewno niesprzeczna). I wyjaśnianie ad hoc można zaakceptować, jeśli opiera się na takiej właśnie teorii. Teoria taka może być zapewne niewygodna — w nauce dąży się zawsze do jak największej ogólności. Ale, według trafnego porównania Wacława Mejbauma, podobnie, jak nie wyrzuca się klucza pasującego do jednego tylko zamka, nie zaś do wszystkich, tak nie odrzuca się teorii o bardzo wąskim zakresie zastosowań, teorii pasującej do jednego tylko wyjaśnienia.

W przypadku Norwida trudno rozstrzygnąć spór interpretatorów: no bo jak dowiedzieć się, o co wieszczowi właściwie chodziło? Można co prawda przez odtworzenie Norwidowego curriculum vitae, tj. jego środowiska, wychowania, itp. ograniczyć do pewnego stopnia wybór możliwych rozwiązań. Ale zawsze to do zgadywania bardziej będzie podobne, aniżeli do wyjaśniania. Zatem bezwzględne przyznanie racji jednej ze stron nie jest chyba możliwe.

Dobry inżynier = dobry humanista

W KAŻDYM NIEDZIELNYM wydaniu „Słowa Polskiego” ukazuje się bardzo popularna wśród czytelników rubryka pn. „Rzecz o języku”. Jej autorem jest znany wrocławski językoznawca dr JAN MIODEK z Zakładu Języka Polskiego Uniwersytetu Wrocławskiego.

Na jego uniwersyteckie zajęcia przychodzili wszyscy, nawet Ci, którym nie chce się chodzić na inne wykłady. Często zdarzało się, że „przemycaliśmy” na nie koleżanki i kolegów z innych wydziałów lub nawet spoza uczelni.

W październiku ub. roku dr Miodek otrzymał za całokształt swojej działalności nagrodę III-go stopnia Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. W br. minie z kolei 10 lat od ukazania się pierwszego odcinka rubryki „Rzecz o języku”. Zainteresowała mnie jednak szczególnie trzecia okazja. Otóż dr Miodek wykłada również kulturę języka w Politechnice Wrocławskiej. Już drugi rok studenci politechniki, oprócz



Fot. A. SASAK

normalnych zajęć dydaktycznych, mają możliwość uczestniczenia w wykładach i ćwiczeniach z przedmiotów o profilu humanistycznym.

— Panie doktorze — jak ocenia Pan pomysł wprowadzenia przedmiotów humanistycznych na uczelnię o profilu technicznym?

Dr MIODEK: Jeśli chodzi o samą ideę humanizacji, witam ją z wielkim zadowoleniem. Obecność takich przedmiotów na politechnice służy bowiem pewnej higienie psychicznej. W natłoku problemów nastawionych na teorię nauk ścisłych, znajdują również swoje miejsce nauki społeczne — w tym — językoznawstwo.

Swego rodzaju ciekawostką, będącą zarazem poparciem tego, co tutaj powiedziałem, jest fakt, że właśnie na uczelni technicznej (Massachusetts Institute of Technology) w Stanach Zjednoczonych pracuje najgłośniejszy dzisiaj językoznawca świata — NOAM CHOMSKY.

— Jak — pańskim zdaniem — odbierają tego typu zajęcia studenci naszej uczelni?

— Wszystkie przedmioty pozakierunkowe, a więc także i kultura języka, są dla studentów z jednej strony dodatkowym obciążeniem, z drugiej zaś jakimś dowartościowaniem intelektualnym. Widzę ambiwalentność tego problemu! Ale językoznawstwo stało się w świecie metodologicznym wzorcem dla innych nauk, a funkcjonowanie zjawisk językowych prowokuje do pewnej myślowej przesłanki, że istota kultury ma charakter językowy. Dlatego też korzyści płynące z przedstawienia

problematyki językowej na politechnice mogą służyć celom ogólnopistemologicznym. Chodzi tutaj po prostu o to, że metody językoznawstwa znajdują dziś zastosowanie w wielu innych dziedzinach nauki (teoria komunikacji, cybernetyka, genetyka, antropologia, etnografia, inżynieria biologiczna itp.).

— Jaki jest więc najważniejszy cel rozważań nad językiem na uczelni technicznej?

— Przede wszystkim chodzi o nabywanie wpraw w posługiwaniu się regułami konstrukcyjnymi systemu języka. Studenci powinni wiedzieć, że tworzenie terminów musi pozostawać w zgodzie z zasadami gramatycznymi języka polskiego. Mam tutaj na myśli zwłaszcza system słowotwórczy. Jest to sprawa szalenie ważna szczególnie w języku technicznym.

— Czy nie uważa Pan, że nazwa przedmiotu nie jest zbyt adekwatna do poruszanej w nim tematyki?

— Zgadzam się z tym całkowicie. I dlatego proponowałbym przekształcić ją na „Elementy nauki o języku”, gdzie znalazłoby się też oczywiście miejsce na sprawy poprawności językowej.

— Program zajęć jest chyba taki sam jak na Uniwersytecie?

— Nie różni się on niczym od tego, który prezentujemy studentom uniwer-

sytetu. Może tylko tym, że jest on ze zrozumiałych względów realizowany w przyspieszonym tempie.

— Podobno zgłaszali się do Pana studenci z pytaniem, czy istnieje możliwość napisania pracy magisterskiej z reprezentowanej przez siebie dziedziny, pod auspicjami językoznawcy?

— Tak. Było kilkanaście takich przypadków i muszę powiedzieć, że wcale nie jestem tym zaskoczony. Wiele osób wśród moich słuchaczy interesuje się np. badaniem zjawisk językowych metodami matematycznymi. Wyniki uzyskiwane przez językoznawstwo matematyczne mają bardzo duże znaczenie w pracach wykonywanych za pomocą maszyn matematycznych (badania nad mechanizacją tłumaczenia, nowoczesne techniki dokumentacyjne). Taka możliwość na pewno istnieje.

— W swojej rubryce „Rzecz o języku” poświęca Pan ostatnio wiele miejsca na zagadnienia związane z językiem technicznym...

— „Rzeczywiście. Pewne inspiracje do tej tematyki dają mi przede wszystkim zajęcia prowadzone na politechnice. Studenci proszą mnie na wykładach o wyjaśnienie różnego rodzaju problemów związanych głównie z pisownią czy też odpowiednim wymawianiem wyrazów z nomenklatury technicznej. Najciekawsze z nich staram się z kolei przedstawić na łamach „Słowa”, wychodząc z założenia, że może się to przydać szerszemu ogółowi Czytelników.

— Na jakich wydziałach prowadzi Pan swoje zajęcia?

— Nie wiem jeszcze jak będzie w drugim semestrze, ale w pierwszym miałem do czynienia ze studentami III-go roku Wydziału Inżynierii Sanitarnej i Wydziału Podstawowych Problemów Techniki. Muszę powiedzieć, że współpracuje mi się z nimi znakomicie, co należy szczególnie podkreślić, biorąc pod uwagę fakt, że są to przeciętne zajęcia nieobowiązkowe. Szkoda tylko, że wykłady w bud. D-1 są prowadzone w bardzo ciężkiej do przeprowadzenia tego typu zajęć sali. Takiego zdania są przede wszystkim studenci. Może w drugim semestrze udałoby się zamienić ją na taką, jaką mamy w bud. C-1?

— Jeśli ktoś ma kłopoty z poprawnym napisaniem czy też wymową jakiegoś wyrazu, to może skorzystać z usług Telefonicznej Poradni Językowej. Może kilka słów na ten właśnie temat.

— Przy Zakładzie Języka Polskiego Uniwersytetu Wrocławskiego działa ona od kilku lat i muszę powiedzieć, że cieszy się dużym zainteresowaniem także i wśród studentów. Dyżurują w niej codziennie, oprócz dni wolnych od pracy, w godz. 13,00—15,00 pod nr tel. 44-25-26 pracownicy naszego zakładu, udzielając wyjaśnień na wszelkie problemy językowe.

Rozmawiał:

MAREK ZYGMUNT

SKRETY

Leon Krzemieniecki

BRAVISSIMO

KIEDY Teofil Gautier spisywał aktorskie i szlacheckie dzieje „Kapitana Fracasse”, braviissimo było w codziennym użytku nie tylko we Francji i nie tylko wówczas. Znał je dobrze Bolesław Prus, znał Stanisław Wyspiański i sporo o nim wrzuszającego powiedziałby jeszcze Julian Tuwim. Dzisiejsi koryfeusze sceny w typie Ludwika Sempolińskiego i Mieczysława Fogga pamiętają je zapewne.

Teraz nie słysząc już tego dźwięcznego, przyjemnego dla ucha okrzyku entuzjazmu i wielkiej pochwały. Nie rozbrzmiewa spontanicznie w teatrach, nie wypowiada je w koślawy sposób clown na arenie cyrkowej, wzywając tłum do wyrażenia głośniego uznania za zręczność i nadzwyczajny popis. Obecny widz i odbiorca sztuki nie zdobywa się na wyrażenie zachwytu — okrzykiem. Dosyć, jeżeli trzusi dłoń i ramiona, jak w Norwida „Klaskaniem mając obrzękle prawicę”. Albo w zaprzecznych wieczorkach TV Jacka Fedorowicza, który uczestnikom dawał długie kije zakończone

w wiadomym celu groteskowo potężnymi rękawicami wagi super ciężkiej. Zamknął profesjonalizm klakierów, najmownych płatnie i zawodowo do klaskania oraz zakupywania kwiatnych koszów. Jedynie gwizd i tupanie buciorami na stadionach utrzymały się — łażą się kręci! — z dawnego, szerego zasobu środków i repertuaru uzewnętrzniania emocji.

Bravissimo! Piękne słowo. Jeżeli bravo spolszczymy na „dobrze”, to bravissimo będzie oznaczać „bardzo dobrze”, nawet wyśmienicie, wspaniale. Dosłownie, jak nader pomyślny wynik egzaminu. Lub — „złota bramka” Kazimierza Deyna na piłkarskiej olimpiadzie.

Nawet nie będąc poetą,
Można sobie nieco pomarzyć:
Gdyby przepoić polską codzienność
Duchem reprezentacji piłkarzy...

W ogóle włoskie „bravo” osiągnęło znakomitą karierę międzynarodową w różnorakiej gamie. Przytoczmy z subiektywnego wyboru tylko „allegro di bravura”, muzyczne określenie wykonawcze oznaczające błyskotliwe i szybkie pokonywanie trudności. (Zaznaczam: allegro nie ma nic wspólnego z ludowym i niegramatycznym powiedzonkiem „ale gro!”). Oraz typowo polskie w historii państwowości „brawować” czyli hałasować na sejmikach. Przeszłość i przyszłość sprzyjają mu. To — oczywiście.

My tu sobie lingwistycznie o aplauzie gadu-gadu, a wręcz niewiadomo o czym gadka. Ponieważ nie zamierzamy konkurować ze współczesną sztuką dramatyczną typu „Stara kobieta wysiaduje” (żeby chociaż kukulcze jajka!), przystąpmy pilnie, po ciceroni ad rem.

Bijmy bravo, klaszczmy sprawnie,
Jeśli wiemy, co jest grane.
Lecz gdy Do-Ro rzeczywiste,
Bravissimo — najwłaściwsze!

Poza tym nie spędzajmy płodu wyobraźni. To szkodzi dobrej zabawie. I robicie na 102! Albowiem często zdarza się, że dopiero po odejściu delikwenta na rentę zasłużoną staje się widoczne, co ów i tamten przed rentą robił...

ZDZISŁAW MILACH — grafika





Fot. J. BORTKIEWICZ

KULTURA STUDENTÓW WROCŁAWSKICH do 1956 r.

Edward Kuś

(2)

PRZEMIANY W STUDENCKIM RUCHU KULTURALNYM PO 1948 R.

W związku z realizacją Planu 6-letniego i budową podstaw socjalizmu zaistniała potrzeba zespolenia wszystkich sił całego społeczeństwa. Rozpoczął się proces centralizacji życia i zarządzania dyrektywnego. Placówki kulturalne realizowały program opracowany i narzucony centralnie. Działalność kulturalną uznano wówczas za ważny czynnik mobilizacji narodu polskiego do wykonywania zadań Planu 6-letniego.

W tym czasie kończyły swoją działalność wiele znanych i aktywnych studenckich zespołów artystycznych, gdyż ich działacze i członkowie opuszczali uczelnie z dyplomami.

Równocześnie w uczelniach i poza nimi toczyły się burzliwe dyskusje o zadaniach i kierunkach działalności kulturalnej. Mówiono o wykorzystywaniu pracy kulturalnej dla kształtowania światopoglądu i postaw młodzieży wobec przeobrażeń w kraju i na świecie. Dyskutanci wskazywali też na potrzebę organizowania imprez stwarzających doskonałe warunki do wypoczynku. W ten sposób chciano łączyć dobrą rozrywkę z nauką i wychowaniem młodego człowieka. W dyskusjach i programach kulturalnych wiele mówiło się o współpracy studentów z zakładami pracy i spółdzielniami produkcyjnymi, o propagowaniu hymnów i pieśni robotniczych oraz pieśni radzieckich.

Nowy program kulturalny w latach 1949–1956 był realizowany przez ZAMP i ZMP, FPOS i ZSP i inne organizacje studenckie.

Życie świetlicowe po 1948 roku

Po zjednoczeniu ruchu młodzieżowego z inicjatywy ZAMP i FPOS zaczęły powstawać świetlice przy prawie każdym domu studenckim obok istniejących świetlic uczelnianych. Lokale tych świetlic wykorzystywano na zebrania, konferencje, narady. Otwierano w nich stałe punkty marksistowskie i czytelnie, organizowano wieczory świetlicowe.

W pierwszych latach działalności ZAMP i ZMP oraz FPOS i ZSP świetlice studenckie tętniły bogatym życiem kulturalnym. Częste zmiany samorządów, biurokratyzowanie pracy, nieudolność organizacyjna powodowały wyraźnie osłabienie tętna tego życia.

W takiej sytuacji coraz częściej mówiono o urozmaiceniu prac świetlic i o powoływaniu klubów studenckich. Zgłaszano postulaty budowy domów kultury o bogatym zapleczu i o fachowym kierownictwie. Budowa takich domów była odkładana z roku na rok w środowiskach studenckich Lublina, Łodzi, Szczecina, Warszawy i Wrocławia. Równocześnie w dyskusjach pytano, czy świetlice nie są przeżytkiem. Niektórzy dyskutanci proponowali też, aby w każdym z powstających domów studenckich organizować małe wewnętrzne kluby, lepsze od dotychczasowych świetlic.

Studenckie zespoły artystyczne w latach 1948–1956

Po 1948 roku w życiu kulturalnym studentów wrocławskich odgrywały istotną rolę brygady agitacyjno-artystyczne, amatorskie zespoły teatralne, chóry, orkiestry, zespoły taneczne i baletowe, recytatorskie itp. Z nielicznych danych wiadomo, że w marcu 1950 r. Wrocław posiadał 10

zespołów artystycznych zrzeszających ponad 400 studentów. Kilka lat później, w marcu 1954 r. wrocławskie środowisko reprezentowało 19 zespołów artystycznych. Większość z nich działała w Uniwersytecie, Politechnice Wrocławskiej, Akademii Medycznej, Wyższej Szkole Ekonomicznej i Wyższej Szkole Rolniczej. Wiele tych zespołów powstało przed festiwalami kultury studenckiej i w czasie masowych akcji polityczno-agitacyjnych. Po wypełnieniu zadań i po zakończeniu akcji często kończyły swoją działalność i rozpa-
dały się.

Pierwsze brygady agitacyjno-artystyczne powstały we Wrocławiu w 1948 r. prawdopodobnie z inicjatywy Wrocławskiego Teatru Akademickiego. Program tych brygad składał się z fragmentów wcześniej przedstawionych „podwieczorków”, połączonych z recytacjami wierszy rewolucyjnych oraz utworów własnej orkiestry. Z inicjatywy Janusza Tańskiego i Tadeusza Turczyńskiego występowano ze składankami słowno-muzycznymi w fabrykach wrocławskich i jednostkach wojskowych oraz na wsi.

Działalność i program brygad agitacyjno-artystycznych podporządkowano potrzebom pracy politycznej i propagandowo-agitacyjnej. W skład tych brygad wchodziły grupy recytatorskie, grupy prelegentów, zespoły taneczne i orkiestry. Z reguły liczyły one kilkanaście i więcej osób. Swoją formą przypominały teatr i scenę amatorską, a niektóre z nich przekształciły się nawet w amatorskie zespoły teatralne i miały znaczny dorobek kulturalny. Przykładem tego jest jedna z brygad powstała wiosną w 1952 r. w Politechnice Wrocławskiej. Nagroda na środowiskowych eliminacjach zespołów artystycznych za recytację „Komuny Paryskiej” W. Broniewskiego była dla członków tej brygady niewątpliwie zachętą do zorganizowania Akademickiego Teatru Dramatycznego przy Politechnice Wrocławskiej.

Teatr ten zainaugurował działalność „Sprytną wdówką” Goldoniego w listopadzie 1952 r. reżyserowaną przez Mirosława Bają. Sztukę tę obejrzało 20.000 widzów we Wrocławiu i w wielu miasteczkach Dolnego Śląska.

Na wiadomość o mających się odbyć w 1953 r. eliminacjach zespołów dramatycznych w ramach II Festiwalu Studenckich Zespołów Świetlicowych zespół pod kierownictwem reżysera Mirosława Bają przystąpił do przygotowania ludowego widowiska historycznego Hanny Januszewskiej „Nawojka”. W związku z tym korzystał on z wskazówek Marii Biliżanki, twórczyni prapremiery „Nawojki”, i z doświadczeń Teatru Młodego Widza w Krakowie.

Po raz pierwszy sztuka ta została wystawiona 10 kwietnia 1953 r. na scenie Teatru Kameralnego. „Żakowska tematyka sztuki, gdzie mimo kostiumu historycznego — widowia studencka mogła znaleźć niejedną własną kłopot, osobisty wdzięk Grażyny Fijałkowskiej — Nawojki (...) wreszcie rozmach widowiska wystawionego z udziałem chóru, orkiestry i baletu, wszystko to przysporzyło teatrowi wielu entuzjastów”.

Zespół liczył 24 członków, w większości studentów pierwszych lat Politechniki Wrocławskiej. Dzięki wystawieniu „Nawojki” zdobył ogromne uznanie publiczności, a komisja konkursowa na ogólnopolskich eliminacjach przyznała mu pierwsze miejsce w kraju. Oprócz tego otrzymał on nagrodę Centralnego Zarządu Teatrów i nagrodę dwutygodnika „Teatr”.

Mimo trudności organizacyjnych i braku reżysera, w związku z wyjazdem Mirosława Bają z Wrocławia, zespół pra-

cował nadal wystawiając „Srebrną szkatułkę” J. Galsworthy’ego, „Androklesa i Iwa” B. Shawa, sztuki Leonidowa „Zwykły człowiek” i „Tania”. W przygotowaniu spektakli pomagali aktorzy Teatru Polskiego we Wrocławiu: Renata Fijałkowska i Zbigniew Wójcik. Zwrócenie uwagi na polemiki ideologiczne i zainteresowania publiczności studenckiej oraz dobra technika wykonania sprawiły, że Akademicki Teatr Dramatyczny przy Politechnice Wrocławskiej stał się najciekawszą sceną akademicką w kraju w pierwszej połowie lat 50-tych.

Również studenci Uniwersytetu Wrocławskiego posiadali swój zespół teatralny. Wystawił on sztukę Morstina „Polacy nie gęsi”, „Domek z kart” i „W małym domu” E. Zegadłowicza. Konkurencja Akademickiego Teatru Dramatycznego studentów Politechniki i różnych zespołów satyrycznych powstających po 1953 r., oraz trudności organizacyjne i kadrowe spowodowały rozkład teatru Uniwersytetu.

W pierwszej połowie lat 50-tych we Wrocławiu działało kilkanaście zespołów wokalnych: tercety, kwartety, sekstety. Większość zespołów istniała krótko, gdyż nie posiadały dyrygentów, instrumentów, odpowiedniego lokalu do odbywania prób. Dobry poziom reprezentowały tylko chóry Politechniki, Uniwersytetu, WSE i medyków. Pracowały one na ogół systematycznie i posiadały dobrych kierowników, więc odnosiły sukcesy i były wyróżniane na eliminacjach studenckich zespołów artystycznych. Brały one udział w występach artystycznych dla studentów i mieszkańców Dolnego Śląska, a w 1953 r. wystąpiły w ogólnopolskich audycjach „Zespoły świetlicowe przed mikrofonem”.

W wielu imprezach kulturalnych brały udział także studenckie zespoły muzyczne (orkiestry). Orkiestry powstawały w uczelniach, np. orkiestra Politechniki, a nawet na niektórych wydziałach (prawo, architektura, elektryczny, inżynierii sanitarnej).

Ich poziom artystyczny był różny. Zdarzało się nawet, że niektóre orkiestry wydziałowe przewyższały poziomem artystycznym zespół uczelniany, a nawet Środowiskowy Zespół Orkiestralny. Wiele z nich istniało jednak krótko.

W pierwszej połowie lat 50-tych wśród studentów wrocławskich dobrą opinią cieszyły się też niektóre zespoły taneczne, zwłaszcza zespół Politechniki, środowiskowy zespół tańca, balety WSWF, WSR i WSE, zespół „Żywe obrazy” PWSSP. Zespoły te miały w swoim programie ludowe tańce polskie i radzieckie, czeskie i słowackie oraz niemieckie. Zespół Politechniki Wrocławskiej w 1954 r. wystawił barwne widowisko „Krakowiacy i Ślązacy na rynku Wrocławia”. Dzięki systematycznej pracy zdobył wiele nagród, przeżył rozpad studenckich zespołów artystycznych w 1956 r., a zakończył działalność dopiero w roku 1961.

NA NOWEJ DRODZE...

Rok 1956 przyniósł załamanie się studenckiej działalności kulturalnej i masowy rozpad — z nielicznymi wyjątkami — istniejących zespołów artystycznych. Główną przyczyną tego zjawiska było rozwiązanie ZMP — ideowego kierownika studenckiego ruchu kulturalnego. Nie bez znaczenia były

też decyzje Plenum RN ZSP, które obradowało już po VIII Plenum KC PZPR i przyjęło uchwałę „O roli i zadaniach Zrzeszenia w świetle ostatnich wydarzeń politycznych w kraju”. Wiele zespołów rozpadło się z powodu trudności organizacyjnych, kadrowych, materialnych itp.

Wszystko to było przedmiotem burzliwych dyskusji na łamach prasy i w środowisku studenckim. Niektórzy członkowie kierownictwa ZSP w październiku 1956 r. postulowali, aby pracę w zespołach artystycznych oprócz na dobrowolności uczestnictwa. Władze ZSP miały spełnić wówczas rolę koordynatora i zabezpieczać finansową egzystencję tych zespołów. Postulaty te zostały poparte przez aktywny Rad Okręgowych Gdańska, Poznania, Warszawy i Wrocławia.

W dyskusjach mówiono też o potrzebie powołania klubów studenckich w miejsce dotychczasowych świetlic. Sprawę tę omawiano np. na posiedzeniu ZW ZMP we Wrocławiu 8 lutego 1956 r. Proponowany wówczas Klub Żaków winien stać się terenem żarliwych dyskusji o zagadnieniach bieżących i o problemach ideowo-wychowawczych i światopoglądowych.

W sprawie utworzenia klubu studenckiego wypowiedział się w 1956 roku także Związek Studencki Młodzieży Komunistycznej w Politechnice Wrocławskiej. Proponował on zorganizowanie w tej uczelni klubu dyskusyjnego dla prowadzenia prelekcji, dyskusji z naukowcami, działaczami, literatami itp.

Po okresie przejściowym załamania ruchu kulturalnego w latach 1956—1957 studenci przystąpili do zbierania rozproszonych sił i do przygotowania nowego programu działalności kulturalnej, dostosowanego do zmienionych warunków politycznych. Już w latach 1957—1958 opinię publiczną zaskoczył burzliwy, spontaniczny rozwój towarzystw naukowych, zespołów artystycznych, klubów dyskusyjnych itp. W grudniu 1957 r. tj. w chwili nadar III Krajowego Zjazdu ZSP w całym kraju pracowały 63 zespoły artystyczne. Kilka lat później, w marcu 1960 r. studenckie zespoły artystyczne liczyły około 5.000 młodzieży rozmiłowanej w tej formie spędzania wolnego czasu. Obejmowały one 30 zespołów chóralnych, 18 zespołów tanecznych, 20 wokalnych, 53 teatralne. Wiele z nich zyskało sobie uznanie na scenach krajowych, a niektóre również za granicą.

Studencki ruch kulturalny w latach 1948—1956 odegrał ważną rolę w rozwijaniu umysłowości studentów, kształtował ich smak estetyczny, umożliwiał im przyswajanie umiejętności muzycznych, recytatorskich, aktorskich itp. Wzbogacał też umysły studentów o wartości humanistyczne, a w szczególności te, które na trwałe weszły do skarbnicy kultury socjalistycznej. Działalność kulturalna była szkołą patriotyzmu, braterstwa wobec innych ludów i apoteozą potęgi umysłu człowieka, wiary w jego twórcze możliwości. Równocześnie konsolidowała ona środowisko studenckie i mieszkańców Dolnego Śląska, stanowiące konglomerat ludzi przybyłych nad Odrę i Nysę z różnych regionów i krajów. Była też dobrą szkołą wielu działaczy i twórców kultury.

EDWARD KUŚ

Etyka i nauka



W IDMO NAUKI KRAŻY NAD ŚWIATEM, KOLEJNE rewolucje naukowe, techniczne i naukowo-techniczne coraz bardziej umacniały i umacniają swoją pobożność umysłów wobec wszystkiego co z nauką się wiąże, od nauki pochodzi, czy wreszcie nauką nazywane bywa. Jest to wspaniałe zjawisko z socjologicznego punktu widzenia i jest ono optymistyczne futurologicznie. W dziedzinie etyki owa pobożność wobec nauki przejawia się we wspomnianej już szerokiej sferze działalności teoretycznej, która określana bywa jako „naukowanie etyki”.

Nauki bywają różne. Czytelnik *Moralistów* miał już okazję dowiedzieć się, że jeśli ktoś umiłował szczególnie matematykę, ją uznał za wzór naukowej dokładności, to będzie na terenie etyki tworzył „etykę w porządku geometrycznym”, czy też „aksjologię formalną”. Idealem jest tu zamknięty zbiór aksjomatów etycznych i parę zgrabnych reguł, wedle których można przekształcać aksjomaty w dostateczną ilość tez etycznych. Idealem jest tu więc swojego rodzaju maszynka do sporządzania przepisów moralnych. Jeśli ktoś jednak ceni najbardziej fakty i empirię, to chwyci się jakiejś teorii dotyczącej świata empirycznie poznawalnego, najlepiej teorii z eksponowanym miejscem doświadczalnie opisywalnego człowieka, i z tej teorii przy pomocy indukcji, dedukcji, porównywania czy ekstrapolacji wyprowadzał będzie naukową teorię etyczną mówiącą nie tylko o tym co to jest moralność i skąd się ona wzięła, lecz mówiącą również jaka ta moralność powinna być. Za podstawowe dla etyki

teorie przyjmuje się tu najczęściej teorie psychologiczne, socjologiczne, teorię ewolucji.

Stanowisko odwołujące się do modelu nauk dedukcyjnych jest teoretycznie czyste. Jest tak czyste, że w zasadzie w czystej postaci nie występuje, a jeżeli występuje, to niewielu teoretyków śmie taką sterylną koncepcję brukać swoją krytyką czy polemiką. Aby zresztą móc ją brukać, trzeba mieć nie tylko śmiałość wynikająca z braku zamiłowania do rzeczy ładnych, ale trzeba mieć również odpowiednio wykształcenie. O ile bowiem klasyczne teorie tego typu przedkładały podstawowy zbiór tez etycznych, które mówiły, że najwyższym dobrem jest to, że każdy człowiek powinien tamto, a zatem każdy duren mógł się tu z czymś nie zgodzić, to wysublimowane i sformalizowane współczesne próby odporne są nie tylko na dezaprobatę durni i uczonych, lecz odporne są często na rozumienie o co tu właściwie idzie. I tak tylko nieliczne wybitne jednostki wiedzą jak się przyklepić do aksjologii formalnej R. Hartmana, której podstawowym twierdzeniem jest teza głosząca, że dobre jest to wszystko co spełnia swoją definicję, przy czym teoria ta ma pozostawać w takim stosunku do etyki normatywnej jak biologia do róży, ma nie pachnieć.

W postaci nieczystej stanowisko to pojawia się czasem przy próbach tworzenia kodeksów etycznych, przy formalizowaniu rozumowań normatywnych np. dla celów skomputeryzowania orzecznictwa sądowego itp. Zamknijmy omawianie tego stanowiska obrazem czystej i chłodnej hali Centrum Obliczeniowego, gdzie suchy stukot maszyn przedkłada czarnymi czcionkami na białym arkuszu papieru nieodwołalne rozstrzygnięcie problemu etycznego. Nie pojawi się nawet ciepło: „Kazimierz Z. jest świnią“, lecz: „Kazimierz Z; moralność w skali 10-stopniowej: 0,0000. Koniec“.

Teorie, które opierają się na wzorcu nauk empirycznych są o wiele bardziej zrozumiałe i niosą zwykle więcej informacji. Konstruowanie gotowych przepisów moralnych jest tu zwykle połączone z próbą odpowiedzi na rzeczywisty problem naukowy dotyczący pochodzenia moralności, struktury jej czynników lub mechanizmów jej zmienności. Istotnym niebezpieczeństwem teoretycznym tych koncepcji jest łatwość pomieszania dwu wymienionych problemów: problemu etycznego — jak należy postępować, i problemu opisowego — co to jest moralność i jaka jest jej geneza. Połączenie tych dwu spraw kusi każdego, kto chciałby raz wreszcie ostatecznie rozstrzygnąć „co jest dobre, a co złe“ i to rozstrzygnięcie w sposób racjonalny, czy też — jak dzisiaj powiadają — „w sposób naukowy“. Sprawa ta wydaje się czasem bardzo prosta, a procedura pomieszania bardzo logiczna. Bo jeśli, założymy, dowiedzieliśmy się bezsprzecznie, że moralność pochodzi z góry Synaj, to nieomal jak wniosek logiczny brzmi twierdzenie, że moralne jest to, co jest zgodne z przykazaniami synajskimi, że stanowią one jedyne ważne i ostateczne kryterium osądów moralnych.

Tak też postępowali etycy, którzy pragnęli połączyć etykę z pożądaną naukową teorią ewolucji. Powiadają, że moralność powstawała krok po kroku w toku ewolucji, że różne koncepcje zła i dobra powstawały i zanikały, gdy nie służyły lepszemu przystosowaniu się społeczeństw, postępowi, a utrwały się wtedy, gdy były zgodne z ogólną tendencją ewolucji ludzi i społeczeństw. Teoria śliczna, lecz jakie z niej wnioski moralne, jakie wskazówki z niej wypływają dla człowieka, który stoi w obliczu decyzji etycznej?

A takie, że należy się dobrze przyjrzeć procesowi przemian świata społecznego, który nas otacza, i stwierdzić w jakim kierunku on zmierza. Gdy uda nam się rozpoznać to, co nadchodzi, wtedy dostosować powinniśmy do tego swoje postępowanie. Słuszne jest to, co jest zgodne z ewolucją,

czyń dobre to te, które pozostają w zgodzie z nadchodzącym kształtem świata. Koncepcja ta stanowi dobry temat do rozważań dla myślenia etycznego.

Olbrzymią rolę w praktycznym ukierunkowaniu postaw ludzi odgrywają tutaj daty i miejsca. W jednym okresie i w pewnym miejscu na kuli ziemskiej koncepcja ta uświadliwia faszyzm, w innym — rasizm, w jeszcze innym — anarchistyczny terroryzm. Może ona również nakazywać i uzasadniać różne sympatyczniejsze postawy etyczne w czasach i miejscach, gdzie np. prosperita ekonomiczna spowodowała złagodzenie stosunków międzyludzkich czy międzygrupowych. Doktryna ta może wszystko. Nie może tylko uzasadnić siebie samej. Nie może uzasadnić swojej podstawowej, artykułowanej lub nieartykułowanej przesłanki, że wszystko to, co nadchodzi w sposób nieunikniony, jest dobre. Musiałaby przypisać owo dobro etyczne samemu przyrodniczo-społecznemu procesowi przemian, co burzy czysto przyrodniczy punkt wyjścia koncepcji, albo też musiałaby postawić za tym procesem Istotę etycznie dobrą, która tym procesem dobroćliwie zawiaduje, co burzy materialistyczne założenia wyjściowe. Zdrowy rozsądek etyczny teoretyków o bardzo różnych orientacjach nadał zgodnie tego typu doktrynom miano amoralizmu.

Jeszcze współcześnie dość popularne są próby „unaukowieńia“ etyki normatywnej przez oparcie jej na empirycznej psychologii. Czyniąc punktem centralnym teorii pewną wybraną własność człowieka, wyciąga się tu wnioski co do tego, jaki człowiek być powinien. Teorie tego typu są reminiscencjami, poprawkami lub rozwinięciami starego, uszczerbionego przez Argument Otwartego Pytania pomysłu postawienia znaku równości między „pożądanym“ a „godnym pożądaniam“, teorii, która z tego co jest, czego ludzie pragną, niebezpiecznie łatwo prześlizguje się do mówienia o tym, co powinno być, czego ludzie powinni pragnąć.

Nowe teorie, które nauczyły się bronić przed krytyką G.E. Moore'a, wyposażone w najnowsze zdobycze metaetyki, często wyposażone w nową, specjalnie do ich celów przystosowaną logikę (tzw. „trzecią logikę“), raz po raz atakują stary problem. Pragną powiedzieć nam, co jest dobre, a co złe, w formie gotowych przepisów moralnych bądź w formie niezawodnych kryteriów odróżniania dobra i zła. Aż dziwnym wydaje się w świetle tych wysiłków, że pomimo niepowodzeń teoretyków, zwykli ludzie jakoś sobie ciągle z trudem bo z trudem, dają radę, że świat nie zmienił się w bagno grzechu i beznadziei moralnej.

Czy takim próbom teoretycznym towarzyszy przeświadczenie, że z chwilą stworzenia takiej idealnej, naukowej teorii dobra i zła, świat stanie się lepszy? Przeświadczenie takie, choć chyba nigdzie z właściwą mocą nie wypowiedziane, jest logicznie z tymi próbami stowarzyszone. Gdyby bowiem, założymy, próba taka się powiodła, jakiś Einstein etyki stworzyłby naukową, olśniewającą prostą teorię etyczną, mówiącą jasno i wyraźnie co jest dobre a co złe, co jest powinnością człowieka, a co nie, to świat ludzki przestałby być mozaiką poglądów moralnych. Zapanowałaby zgoda w rozumieniu dobra, a ponieważ człowiek skłonny jest raczej wybierać dobre, wszyscy ramie przy ramieniu budowałiby radośnie nowy, wspaniały świat.

Takie to piękne, że aż cukierkowe. Można na to patrzeć jak na naiwną utopię, można jednak popatrzeć na to jako na ideologiczną próbę zamaskowania tych czynników, które generują różnice między wielkimi grupami ludzi, czynników, które generują różnice interesów tych grup, ich dążeń i wartości.

MACIEJ KAŁUSZYŃSKI

STYPENDIA PO NOWEMU

Marek Szewczyk

JUŻ WKRÓTCE, BO OD POCZĄTKU nowego, letniego semestru bieżącego roku akademickiego, w Politechnice Wrocławskiej obowiązować będzie nowy „Tryb przyznawania pomocy materialnej dla studentów (...)“. W czym przejawia się ta „nowość“ i jakie zmiany czekają politechniczne środowisko, zarówno studentów jak i dydaktyków? Odpowiedź zawarta została na dwudziestu jeden stronach maszynopisu, gdzie szczegó-

wo omówiono zamierzenia i wytyczne zamierzonych reform dotyczących głównie przyznawania nagród okresowych. Przysługują one — w myśl zarządzenia — studentom studiów dziennych za wyniki w nauce osiągnięte w poprzednim semestrze. Mogą one także być podwyższone do 50% ich wysokości, w ramach kwoty nie wyższej niż 20% sumy wypłacanej na te nagrody w instytucie. O wartości tych „nowych widelców“ decydować będzie m.in. stopień

trudności w danym semestrze studium podstawowego (trzech pierwszych lat studiów), a także zaangażowanie społeczne oraz postawa moralno-obywatelska. Omawiane zarządzenie określa dokładnie zasady przyznawania podwyższonych nagród.

Po ukończeniu każdego semestru dziekan poszczególnych wydziałów określa, kierując się kryterium sprawności nauczania, najtrudniejszy semestr na trzech pierwszych latach studiów, a następnie informację tę przekazuje w terminie do 1 października po semestrze letnim, i do 1 marca po semestrze zimowym, odpowiednim zastępcą dyrektora instytutu ds. studentów. Natomiast na studium specjalizującym (rok IV i V) podwyższenie nagród może być

stosowane jedynie w trybie indywidualnym na wniosek zastępcy dyrektora instytutu ds. dydaktyki po zaciągnięciu opinii opiekuna dydaktycznego (tutora). Wnioski te z-ca dyrektora ds. dydaktyki kieruje do z-cy dyrektora instytutu ds. studenckich w terminie do 1 października (semestr letni) i do 1 marca (semestr zimowy). Podwyższenie nagród okresowych w omówionych powyżej przypadkach indywidualnych odbywa się na wniosek SZSP. Decydującą tu rolę odgrywa Grupa Działania, która za pośrednictwem swych przewodniczących przedstawia propozycje wysokości nagród Radzie Instytutowej SZSP, która po zapoznaniu się z kwotą przeznaczoną na nagrody w instytucie przedstawia swoje propozycje na Kolegium Instytutu ds. Studenckich, kierując się m.in.: działalnością społeczną, koleżeńskością czy udziałem w pracach studenckiego ruchu naukowego.

Powstaje tu jednak problem odpowiedzialności, nie tyle finansowej, co moralnej, odpowiedzialności za prawidłową ocenę swojego kolegi. W celu uzyskania nagrody okresowej student zgłasza swoją kandydaturę przewodniczącemu grupy. Wszyscy w grupie znają kandydata, wszyscy mogą zatem wypowiedzieć się na temat każdej z kandydatur, zdecydować komu, ile, i za co przyznać wyróżnienie, którym jest bez wątpienia podwyższenie okresowej nagrody.

Pierwsze próby przekazania odpowiedzialności za rozdział pomocy materialnej organizacji studenckiej mieliśmy przed kilku laty, kiedy to o zakwaterowaniu studenta w domu studenckim w następnym roku akademickim decydowała Rada Mieszkańców akademika, w którym dany student zamieszkiwał dotychczas. Widać powierzone młodym zaufanie utwierdziło władze Szkoły w słuszności tego postanowienia, skoro zdecydowano się na kolejny akt uprąpomocnienia studenckiej samorządności. Teraz kolej na Związek.

Student chce być traktowany „dorosłe”. Ma teraz możliwość sprawdzenia siebie, pokazania siebie w kolejnej próbie. Nadeszła kolejna chwila, kiedy wszyscy studenci muszą zdać sobie sprawę z rangi dokumentu, który dostali w swoje ręce. Wszyscy, bez wyjątku. Zarówno ci „na organizacyjnym Olimpie” jak i ci szarzy, którzy lubią tylko narzekać na pracę aktywną.

Przewodniczący grup działania, instytutów, Rady Uczelnianej, otrzymują niabawem nowy argument w swoje ręce, argument, który wyniesie ich niejako ponad kolegów. Od ich postawy, może decyzji, zależeć będzie wiele. Te kilkaset złotych polskich w kieszeni kolegi, jego zadowolenie, nowy nabytek w postaci kompletu kreślarskiego zakupionego za dodatkowe fundusze, a może nieco wyższy standard życia przez kilka dni... Dzięki swoim decyzjom ukształtują kolejny element obrazu organizacji, dopiszą kilka głosek w białoczerwonej księdze, będącej symbolem nowego pokolenia Polski Ludowej.

MAREK J. SZEWCZYK

§ NA BAKIER

J u b i l e u s z

„Impreza nie mająca sobie równej w historii! Atrakcja jakiej nie było OD DWUDZIESTU LAT i nie będzie przez następne dwadzieścia! Humor i rozrywka, piosenka i poezja, sport i zabawa, światło i dźwięk — to wszystko możesz przeżyć i zobaczyć na imprezach 20-lecia DS (tu nazwa akademika). Przyjdź, a nie będziesz chciał odejść! Mieszkałeś (tu nazwa akademika) — powspominasz!! Nie mieszkałeś? — pozazdrościsz!!! Brak Ci czasu? Znajdziesz go u nas! Spotka Cię również to, czego nie masz na codzień — POCZUJESZ BLUESA!”

Niebieski kartonik formatu A-5, z boku wydrukowany program. Na odwrocie znaczek okolicznościowy. Efektowne zaproszenie na obchody jubileuszu powiększy moje zbiory.

✱

— *Imprezy w klubach DS-u i na boisku* — czytam w sprawozdaniu kierownictwa administracyjnego — (...) *odbyły się: spotkanie z byłym artystą Opery Wrocławskiej (25 uczestników), wieczór międzynarodowy przygotowany przez studentów z Ekwadoru, Peru, Maroka i Ghany (uczestniczyło 20 osób)...*

— Był Bal Jubileuszowy i koncert inauguracyjny, a także co bardziej znane dostępne w tym czasie we Wrocławiu zespoły. Ze sprawozdania dowiadujemy się też, jak to przez cztery dni studenci uparcie rozpropagowywali swój jubileusz. Efekt tej propagandy był fantastyczny: w imprezach (tak naprawdę) uczestniczyło zaledwie kilku byłych mieszkańców akademika i żaden z oficjalnych przedstawicieli macierzystej uczelni.

Trzy dni trwał JUBILEUSZ. Przewodniczący RM przez następne pięć biegał po akademiku i krzyczał, że tego głównoodpowiedzialnego to do sądu poda. Ów zaś profilaktycznie powtórzył manewr sorzed obchodów i... usunął się z pola widzenia. Po tygodniu przewodniczący RM uspokoił się i zapowiedział zebranie podsumowująco-rozliczające JUBILEUSZ. Jakoś jednak dziwnym zbiegiem okoliczności przesunęło się ono w termin bliżej nieokreślony. Wreszcie po blisko dwóch miesiącach doszło do skutku, ale bez udziału „głównoodpowiedzialnego”. Tematu JUBILEUSZU też starano się unikać. Przewodniczący stał się nawet swoistym obrońcą minionych dni. Twarz zachowała jedynie administracja DS-u pozostawiając ocenę faktów i ludzi studentom. Mieli to, o co walczyli przez tyle lat!

Znów powróciła sprawa Sądu Koleżeńkiego. Zapisano nawet ten fakt w protokole zebrania, a... „głównoodpowiedzialny” śmiał się w kulkę próbując

swoich sił w wygryzaniu współmieszkańców jednej z agend SZSP, której dziwnym trafem został przewodniczącym. Do Sądu rzecz jasna nie doszło, a „za karę” powierzono mu organizację kolejnej imprezy studenckiej, która miała pomóc studenckiej braci tegoż akademika w potyczkach o najlepszy samorząd studencki.

Po podsumowaniu wśród mieszkańców oceniono ją, jako niewypały, lecz sprawozdania zapewne jak zwykle opadały w ciekawej formie kolejne osiągnięcia.

✱

Organizacja studencka przez wiele lat dochodziła swego. Aż dziw bierze, że teraz, kiedy wiele spraw władze szkoły przekazały w ręce studentów, wąska grupa ludzi, licząc chyba tylko na indywidualne sukcesy, chce zaprzepaścić dorobek wielu walczących o studencką sprawę poprzedników. Pomijam tu nieodpowiedzialność finansową (do połowy grudnia ub.r. JUBILEUSZ nie został rozliczony, a miał miejsce w październiku), pomijam także nielojalność względem kolegów czy brak szacunku dla pracy innych. Chodzi mi o to, że ludzie ci są stawiani za wzór, że są nagradzani (nawet wysokimi nagrodami szkolnymi). Chodzi mi także o to, że we współczesnym środowisku studenckim utarł się wzór „szefa”, który dyktuje i ma „jednego”, który robi, bo kiedyś postanowił, że wywiezie się ze swoich zobowiązań, i że nie on, a właśnie „szef” zbierze owoce jego pracy pomimo że wcześniej nie miał najmniejszej ochoty nią się zajmować.

Nie generalizuję, ale stawiam jako wniosek pod rozważę: postawy niektórych naszych działaczy, a może raczej pseudodziałaczy, budzą wiele zastrzeżeń. Niech jeden osobnik płci obojętnej robi jedną robotę, ale niech ją robi dobrze!

JAN

Σ informuje

✱

Co dwa tygodnie odbywają się spotkania członków Koła Filozoficznego działającego w naszej uczelni pod opieką pracowników dydaktycznych Zespołu Filozofii. Podczas dyskusji poruszane są problemy najbardziej interesujące studentów, a dotyczące m.in. postaw moralnych współczesnego człowieka, teorii marksizmu, leninizmu itp.

✱

Studenckie Studio Radiowe zmieniło opiekuna. Ideowo-polityczny patronat nad ASR-em objęła RU SZSP. Ustalono już

program pracy redakcji na cały rok. Będzie on dotyczył m.in. wyborów do RN, zagadnień nauki i dydaktyki, V-lecia SZSP, przydziału świadczeń materialnych.

✱

Obozy zimowe w górach, wyjazdy sobotnio-niedzielne, „express narty”, szkoły narciarskie, giełda sprzętu turystycznego, Mistrzostwa Politechniki w Konkurencjach Narciarskich, to tylko niektóre imprezy wchodzące w skład akcji „Zima-77”. Są one realizowane przez RI, RU, AZS pod komendą Marka Wilanda.

Sprostowanie

Przepraszamy Czytelników i autorów artykułu „Lata tłuste” (s. 16, „Sigma” 3/86). Autorem artykułu jest p. Bogdan Raczyński.

8. XII. 1977 r. odbyła się kwalifikacja do DS „AtoI” dla małżeństw. Komisja RU pod przewodnictwem Stefana Makacewicza, w składzie: czterech członków RU, czterech przewodniczących RI, dwóch członków RO, uwzględniając pracę społeczną zainteresowanych, ich sytuację zdrowotną, rodzinną, dochodową, postępy w nauce, staż małżeński, rozdzieliła pokoje przyznając pierwszeństwo małżonkom z Politechniki Wrocławskiej.

✱

Z dniem 1. III. 1978 r. upływa termin nadsyłania prac konkursowych na III Ogólnopolskie Biennale Fotografii Studenckiej odbywające się w ramach VI Festiwalu Kultury Studentów PRL. Na laureatów konkursu czekają wysokie nagrody w wysokości 1–10 tys. złotych. Prace związane z życiem, twórczością i pracą studentów należy składać u szefa Komisji Propagandy i Informacji RU SZSP — Przemka Piotrowskiego.

KRYSTYNA GIBNER

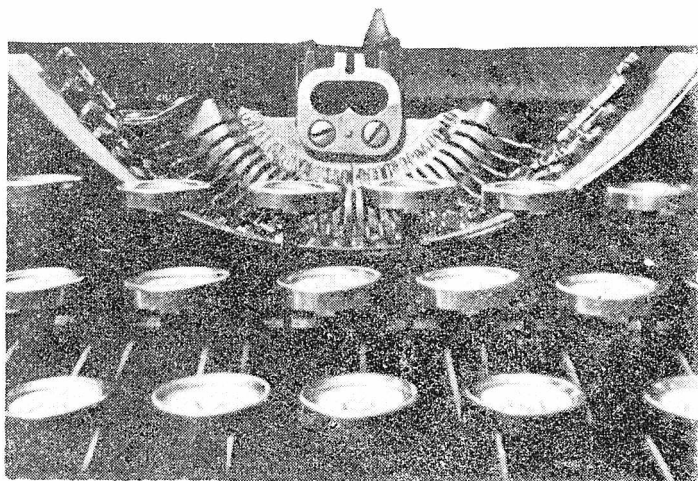
Turniej brydżowy o puchar Rady Zakładowej

Od 1972 r. odbywają się na Politechnice drużynowe turnieje brydżowe o przechodni puchar ufundowany przez Radę Zakładową. 14. I. 1978 r. zorganizowano kolejny turniej, w którym udział wzięło 13 zespołów reprezentujących niektóre instytuty, sekcję brydża sportowego przy Radzie Zakładowej oraz AZS. Po zaciętych zmaganiach, w trakcie których każda drużyna rozegrała po 36 rozdań, pierwsze miejsce zdobyła — po raz trzeci z rzędu — drużyna reprezentująca Instytut I-18. W ten sposób Instytut Matematyki zdobył puchar na własność. Zwycięska drużyna występowała w składzie:

- Kira i Lucjan Szamkołowiczowie,
- Tomasz Jastrzębski i Roger Pomierski.

Drugie miejsce w turnieju zajęła drużyna Instytutu I-7, a trzecie — AZS. Rozgrywki przebiegały w miłej atmosferze, a uczestnicy wyrażali nadzieję, że tradycyjny turniej będzie kontynuowany. Biorąc pod uwagę te głosy, organizatorzy planują wprowadzenie obok dorocznego turnieju drużynowego także turniej indywidualny o tytuł brydżysty roku.

czytelnicy piszą



Fot. M. RATAJCZAK

Monachomachia — wiek XX

Mówiąc o sobie nie przebiegają w słowach. „Młot” jednoznacznie określa studenta politechniki, a „chłopski filozof” — uniwersytetu. Siegają nawet po argumenty, że studenci z politechniki mówią „cuś”, nie można z nimi w ogóle rozmawiać, dziewczyny nie umieją się ubrać ani umalować. Sypią się więc epitety z obu stron, a w studenckiej mentalności wykształcił się obraz swoistych państw w państwie — i prawie tyle tych państw ile uczelni.

W ukształtowaniu takiej mentalności swój udział mają także niektórzy wykładowcy i asystenci owych „zwalczających się” uczelni. Z jednej strony bowiem znaczna grupa pracowników naukowych uniwersytetów jawnie demonstruje swą niechęć, a nawet

czytelnicy piszą

lekceważenie dla „technokratów”, nie znających wysublimowanych tajników kultury. Jednocześnie zaś wykładowcy w uczelniach technicznych jakże często zartobliwie proponują najmniej pojętnym studentom przejście do baletu lub na uniwersytet.

Nazwał ktoś swego czasu ów spór między humanistami, a technikami monachomachią godną ambony parafialnego kościółka. I to jest chyba najtrudniejsze ujęcie. Może należałoby zostawić sprawę każdemu z osobna i czekać aż poszczególni delikwenci zmagdrzeją, gdyby nie coraz częstsze ostatnio konfrontacje zwaśnionych uczelni na niwie sportowej czy kulturalnej, a przede wszystkim turnieje typu Uniwersytet — Politechnika. Po każdej bowiem z takich imprez wybuchają wśród pokonanych pełne żalu dyskusje, napływają do redakcji różnych pism studenckich i młodzieżowych nowe listy, a nawet artykuły, o wymowie osławionej monachomachii. Tragiczne w swym zaciętrzewieniu, przeszycone już nie drwiną, ale nienawiścią. Jest to tak uderzające, że pomijając wszelkie znane mi interpretacje przyczyn tak wielkiej żywotności owego sporu, postanowiłem na nowo przemyśleć tę sprawę. Po potrzebny mi do tego wizerunek duszy „humanisty” sięgnąłem do wypowiedzi i listów studentów tych właśnie kierunków studiów.

Szczególnej satysfakcji doznałem analizując wypowiedzi dotyczące sytuacji w zatrudnieniu absolwentów wyższych uczelni. Otóż ujawniają one — podejrzywam — przyczynę idiotycznej kłótni humanistów z technikami, którą jest z dnia na dzień postępująca degradacja rangi „humanisty” w dzisiejszym „ekonomicznie myślącym” społeczeństwie. Znikome perspektywy atrakcyjnej pracy, czasem brak perspektyw, wywołują u studentów uniwersytetów kompleks społecznej nieprzydatności, poczucie zmarnowanego czasu, lęk przegranej w walce o byt. Dotyczy to w szczególności studentów kierunków typu filologicznego i historycznego.

Piszą studenci uniwersytetów: „Wszyscy jesteście potrzebni!”. Ale ten okrzyk jest pełen niewiary. Czytającemu robi się przykro, bo widzi, że to okrzyk samooszukiwania i cichy. Okrzyk człowieka bezradnego. Piszą też, że są skazani na przeciętność. Że tylko nieliczni z ich poprzedników zrobili jakąś taką karierę, a co do nich, to zanoszą się, że będzie jeszcze gorzej.

Wnioski są prawie w każdym liście. „Oszukani przez los” przestrzegają swych potencjalnych następców przed równie pochopnym

podejmowaniem studiów uniwersyteckich. Są postulaty, aby na władze uczelni nałożyć obowiązek opieki nad absolwentem w trudnych chwilach startu. Niektórzy chcieliby, aby skuteczniej patrolował im wtedy także SZSP... Są również otwarte ataki na system szkolnictwa wyższego, zarzuty marnowania pieniędzy na kształcenie ludzi, dla których nie ma odpowiedniej pracy. Z wyrzutem piszą studenci o zatrudnianiu absolwentów uniwersytetów na stanowiskach wymagających najwyżej kilkumiesięcznego przuczenia.

Budują więc różne teoryjki na swój własny użytek, ku pokrzepieniu serc, mające im pomóc utwierdzić się w przekonaniu, że to tylko świat jest niesprawiedliwy wobec nich, że to tylko wielka pomyłka wieku technizacji... Dowodząc tępoty przeciwników, biorą intelektualny rewanż za krzywdy, jakie zgłotował im dzień dzisiejszy. To zrozumiałe, że w chwili, gdy im się odbiera i tę pociechę, mogą się zdobyć tylko na odruch szczeniackiego gniewu.

I tym większe oburzenie, im zagrożenie staje się wyraźniejsze. Największy krzyk podnosi więc uniwersytecka miernota, wszyscy ci, co czują się najbardziej zepchnięci na margines. Ludzie świadomi swych możliwości, zdolni i pracowici, z daleka trzymają się od tego hałasu. Oni wiedzą, rozumieją, że człowiek — każdy człowiek — znajdzie w końcu właściwe sobie miejsce. Że posada, awans, pieniądze, uznanie — wszystko to, na co każdy czeka —

przyjdzie nareszcie w wymiarze właściwym dla danej konkretnej jednostki. I że to trzeba sobie wywalczyć, a nie wykrzyczeć. Wiedzą, że to nie profil wykształcenia ostatecznie decyduje o karierze, ale decydują rzeczywiste wartości, jakimi dysponuje człowiek kończący studia.

A wówczas gdy dochodzą do głosu czynniki ambicjonalne, organizuje turniej Uniwersytet — Politechnika, albo coś w tym rodzaju — i problem z głowy.

Lecz gdzieś pozostają ludzie, nagle ogołoceni z teoryjek podbudowujących ich poczucie własnej wartości, pozostają z nowo odkrytą prawdą. Prawdą, w którą nikt nie chce uwierzyć, która nikomu nie jest potrzebna. I w takich chwilach piszą listy, w których jest tylko krzyk, jest złośliwe oszczerstwo, zaślepienie, niepokój, żal, gorycz rozczarowania — wreszcie płacz nad własną pomyłką i poczucie krzywdy, najbardziej bolesne ze wszystkich doznań. I to jest normalne i ludzkie. Tyle, że kiedyś w przyszłości, będą może pisać w podobnych chwilach anonimowy donosy. I to także będzie dla nich naturalne i ludzkie. Tak oto, tutaj, już teraz, wyłega się nowy rozdział naszej „monachomachii”

MAREK STYPANIAK

Czy tylko cienie były w MDS-ie?

ZNAJWIEKSZĄ UWAGĄ PRZECZYTAŁEM ARTYKUŁ p. Marka Zygmunta „Cienie i blaski MDS-u”. Gdy dobiegłem do końca artykułu, miałem wrażenie, że to chyba jego pierwszy odcinek, lecz na końcu nie było sakramentalnego cdn., co sugerowało, że o blaskach MDS-u nie było sensu pisać. Czy rzeczywiście?

Faktem jest, że w sprawach organizacyjnych nie zawsze było najlepiej, ale gdzież wszystko odbywa się bez perturbacji i drobnych błędów? — chyba tylko w bajkach.

Szkoda więc, że nie było słowa o pracy obsługi domu, o tym, że pomimo wszystkich opisanych kłopotów, starała się ona, by dom funkcjonował jak najlepiej. Wszyscy rozumieliśmy, że nie ma tutaj dwóch obozów Rada Uczelniana

i MDS — reprezentowaliśmy bowiem jedną Organizację, a mając na uwadze charakter instytucji jaką był MDS — jedną Uczelnię i jeden Kraj. Nie znalazło się w artykule ani jedno nazwisko z grona osób, które poświęcając wakacyjne wypoczynek pracowali, bardzo często wykraczając poza ramowe obowiązki pokojowych czy recepcjonistów.

Czyżby ludzie, którzy brali za nielimitowaną ilość (po 20 i więcej na dobę) godzin pracy wielkie pieniądze (2.000—3.000 złotych) byli niegodni magazynu naszej Uczelni?

Chciałbym właśnie tym, którzy pomagali, by MDS błyszczał choć nikłym światelkiem, podziękować za ich pracę i wysiłek, za to, że rozumieli dobrze swoją rolę i wypełniali dobrze swoje zadania.

Z poważaniem

Kierownik MDS-u
NARCYZ SZKLARZ

Zza muru

UNIWEREK? E, TO „BUBLE” i „pozerzy”, „humanisci obiboki”... jednym słowem — „miernota” — słyhać wśród kolegów na Politechnice. No i oczywiście te „tartaki” — ktoś dorzuca z boku. Polibuda? — pytają jeszcze raz zdziwieni. To „politraki”, „młoty”, i „fizyczni”, „technokraci” — wyliczają jednym tchem „ci z Uniwersytetu”.

Mnożą się epitety, powstają coraz to nowe określenia. Zastanówmy się jednak, co jest przyczyną tej waśni, ba czy jest w ogóle jakaś przyczyna.

Nie zauważyliśmy nawet kiedy między studentami Politechniki i Uniwersytetu powstał „mur graniczny”, który choć cichy i niewidzialny, dzieli oba środowiska, a może to tylko mur pozorny.

Poczywiwy Fredro zbesztalby zapewne brać studencką jedną i drugiej uczelni, a za te wszystkie „fimfy” i „banialuki” do „czubków” odesłał, albowiem przypinanie sobie obraźliwych etykietek, prawienie uszczypliwych i zgryźliwych uwag, prawem kaduka właściwie, nie było nigdy, delikatnie mówiąc, znamieniem zdrowego rozsądku.

Wadzą się jednak technokraci z uniwersyteckimi humanistami, a robią to, jak zresztą często sami przyznają, ciachaczem, ale dla zasady, a wszystko po to „żeby udowodnić tym z Uniwersytetu... no, żeby im udowodnić”. Czasem jedni i drudzy czynią to „z pełną kulturą” na łamach prasy studenckiej czy też na spotkaniach z okazji różnego rodzaju imprez „integracyjnych”. Ubrani, co prawda, nie w żupany lecz

w wymarzone dżinsy z „peku”, niewiele różnią się od fredrowskich pieniaczy z grodzkich czy ziemskich urzędów.

Wygląda jednak na to, że wspólne rajdy, złoty i wycieczki integrują tylko na czas opróżniania „żyta”, czy wspólnej nocy w schronisku.

Często mówi się, że studenci Uniwersytetu szczególnie zaś humanisci, obawiają się, iż nasz kraj zaludni się technikami i że braknie dla nich pracy. Obawy nas — humanistów nie są pozabawione podstaw. Rzeczywiście kiedy z Politechniki mają rację, dumnie podkreślając, że szybciej znajdują ciekawą i dobrze płatną pracę. Na nich czeka cały przemysł, budownictwo czy transport. To prawda, że nasycenie rynku pracy humanistami jest znaczne, szczególnie zaś w wielkich aglomeracjach miejsko-przemysłowych. Trudno jest znaleźć pracę poloniście, historykowi, archeologowi w Warszawie, Wrocławiu czy Łodzi, ale to nie znaczy wcale, że pracy dla nich nie ma. Humanisci aż nadto dobrze zdają sobie sprawę, iż ich status społeczny uległ znacznemu obniżeniu. Wśród nich jest wielu takich, którzy bardzo dobrze orientują się w możliwościach przyszłego zatrudnienia. Często już studenci II czy III roku dobrze wiedzą, gdzie będą pracować, i wcale nie mają złudzeń. „Ci z Uniwersytetu” wcale nie „płaczą”, że przyjdzie pracować im na prowincji. Idą tam chętnie, choćby dlatego, że szybciej dostaną mieszkanie, awansują, że będą czuć się bardziej potrzebni niż w wielkim mieście. Biorą pod uwagę również fakt, że właśnie w mniejszym środowisku szybciej zdobędą sobie zaufanie i autorytet, a to na pewno nie jest bez znaczenia.

Wszyscy zgodnie podkreślają, że technik to zawsze może zostać humanista, ale humanista technikiem: nie to być nie może. Często więc kolega politechnik obraża się, gdy ten z Uniwersytetu zarzuca mu w dyskusji, że jest nieoczytany, że niewiele ma do powiedzenia o tym, co grają w kinach, że nie zna się na jazzie, teatrze czy poezji. Na pewno wówczas powie: postuduj z nami tydzień, a zobaczysz ile mamy wolnego czasu. Tak, to jest argument. Tylko, że „ten zza muru” np. poloniista powie: to przeczytaj w ciągu trzech miesięcy 50 (słownie: „pięćdziesiąt”) lektur, przygotuj się do zajęć... i tak dalej i tak dalej.

Smutne jest, że student Uniwersytetu tworzy sobie portret swego kolegi z Politechniki tylko w oparciu o plotki, uszczypliwe dowcipy, i kłamstwa, rzadziej zaś o bezpośrednie kontakty, że uważa go za intelektualnie ograniczonego, zapatrzonego jedynie w studia, i przyszły zawód, który — jak mniema — wykonywał będzie jedynie dla pieniędzy.

Godne ubolewania jest również, że „ten z Uniwersytetu” jest w oczach politechnika potencjalnym pasożytem, bo komu potrzeba tej całej masy filologów, historyków, a gdzie jeszcze znaleźć miejsce dla rywali z matematyki, fizyki czy chemii. Tymczasem niewielu studentów Politechniki odwiedza swych kolegów w Uniwersytecie, niewielu zna w ogóle zasady studiów uniwersyteckich. Nic więc dziwnego, że mnożą się kłamstwa, plotki, że dalej „nikt nic nie wie”, ale kimś gardzić przecież trzeba. Że krzyk próżny, nic nie szkodzi, tak bez hecy jakoś smutno.

ROBERT GAWŁOWSKI

WAPNIAKI

KIEDY SIEDZIAŁEM ZNUDZONY na kolejnym redakcyjnym dyżurze, przyszedł kolega tak samo jak ja kończący studia, tak samo posiadający legitymację członkowską SZSP. — Czytałeś Krasnodębskiego w POLITECHNIKU? — spytał. Skinąłem głową zdziwiony. Dawny wróg tego pisma od roku stał się fanatycznym jego czytelnikiem. Twierdzi, że przekonał się do prezentowanego tam stylu. Byłem zadowolony, że znalazł się ktoś, kto przerwał tę nudę oczekiwania.

Przed kilku laty zadecydowało redakcyjne forum: musi być kontakt z czytelnikiem, a że podobno student ma najwięcej do powiedzenia, student zawsze się buntuje, student proponuje i student jest gnębiony, ten zaszczytny obowiązek czuwania w oczekiwaniu na studenta przypadł w udziale działowi, w którego nazwie figuruje „studencki”. Przyznam, inicjatywa fajna. Przez dwa lata miałem niewiele do roboty. Odwiedziny Krzyśka były trzecią wizytą w redakcyjnym pomieszczeniu. A prze-

cież tyle razy słyszałem, jak w akademickich pokojach głos z głośnika mówił, że „w każdą środę można przyjść, zatelefonować”. Przypominam sobie dobre czasy rubryki „SIGMA 202 240”. Inicjatywa padła z braku chętnych do jej współredagowania, a przecież jakże często jestem świadkiem taaakich dysput.

Dyskutujemy z Krzyśkiem o braku zainteresowania organizacją studencką. Analizujemy Krasnodębskiego. Przypomina mi się student trzeciego roku, który nie wiedział, gdzie znajduje się Rada Uczelniana. Wracają w pamięci scenki w RU, kiedy kończący studia musieli regulować zaległe składki SZSP, by móc uzyskać pieczętkę na obiegówce. Wykrzykiwali, że nic nie mieli, z niczego nie korzystali, lecz płacili, wszak dyplom jest potrzebny do życia. Należeli do SZSP niewiele o Organizacji wiedząc. Tworzyli statystykę tak, jak dziś tworzy wielu ich młodszych kolegów.

Myślę, że bezpowrotnie minęły czasy działania dla satysfakcji. Dziś organizacja jest nieatrakcyjna. Nie opłaca się w niej pracować. Miast tracić czas na społeczną pracę, można pójść do biblioteki, postukać wyrabiając te 3,6 za tysiąc zeteł. Można też dostać dobrą fuchę w ROBOCIE i wyjazd, który jeszcze niedawno był nagrodą za organizacyjną pracę, sfinansować samemu.

Znam takie przypadki; kiedy to „szef” KT prosił spotkano na korytarzu studenta by zechciał wpłacić te trzy stówy i jechać na wycieczkę. „Wiesz gdzie ja mam ten twój wyjazd?” — słyszał w odpowiedzi, i widział klepanie bądź bardziej skomplikowany gest w wiadomym miejscu.

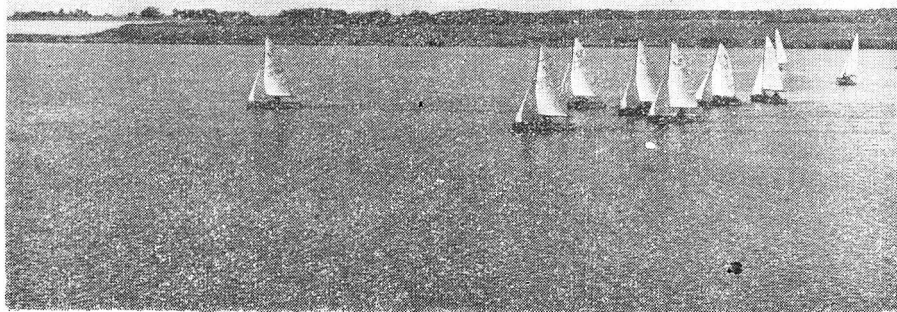
Student musi się uczyć. Zgoda. Jest to główny cel. Cel stawiany przez nauczyciela akademickiego, władze... Student się uczy. Trwa ochronka dla pierwszego roku. Wdrażają się, klimatyzują, oceniają, i po półroczu otrzymują legitymację. Są na tyle cwani, by płacić składki. Następuje teraz kształtowanie modelu środowiska. Jego najmłodsze ogniwo wie gdzie biblioteka, widziało gdzieś biało-czerwony znaczek, pojedzie także na wycieczkę autokarową. Na pierwszym zebraniu spyta nawet „CO MI DAJE ORGANIZACJA”? Będzie opowiadało w swoim „siodle”, a atrakcjach akademickiego życia, aż po pięciu latach spyta kogoś „gdzie RU?”, ureguluje zaległe składki, przyłożą mu pieczętkę, odbierze dyplom i pójdzie w życie.

A my z Krzyśkiem będziemy wspominać czasy jak to na pierwszym roku biegaliśmy z papierkami, programami, poganiani przez starszych kolegów.

Och wapniaki, wapniaki...

MAREK J. SZEWCZYK

ZA TYCH, CO NA SZLAKU



Fot. Z. SZRETER

dokończenie ze str. 3

Było to spotkanie, które niczym seans spirytystyczny wywoływało duchy dawnych imprez i przygód. Mnie zaś pozwoliło wczuć się w atmosferę Oddziału, w coś co można by nazwać stylem życia ludzi związanych z turystyką...

PTTK — styl życia

W 25-letnim okresie działalności Oddziału PTTK przy Politechnice Wrocławskiej można wyróżnić trzy etapy. Pierwszy — pionierski, przypadający na lata 50-te, charakteryzujący się dużą spontanicznością we wszelkiego rodzaju

działaniach, drugi — upływający pod znakiem imprez masowych, i wreszcie obecny, w którym nastąpiło pewne sformalizowanie i zinstytucjonalizowanie PTTK, a tym samym i naszego Oddziału.

Etapy te są w pewnym sensie ilustracją przemian jakie zachodzą w naszym życiu. W latach 50-tych wyzwoliły się żywiołowe siły tłamszone przez cały okres okupacji, ludzie pragnęli swobody i przestrzeni, a to dawały im wspólne wycieczki w góry, jazda na nartach. Takie wspólne wędrowanie miało też dodatkowe zalety — było tanie. W okresie tym duży procent członków Oddziału stanowili studenci. Żadna organizacja młodzieżowa nie przy-

wiązywała wtedy tak dużej wagi do turystyki. PTTK dawało więc im wszystko — bo nie tylko możliwość uczestniczenia w zorganizowanych imprezach, ale też wzorce osobowe, dzięki postaciom starych przedwojennych działaczy turystyki.

Lata 60-te to okres organizacji turystyki studenckiej (ZSP, AKT). Większe dotacje finansowe dla organizacji młodzieżowych sprawiły, że duża część studentów wyłączyła się z czynnego działania w Oddziale PTTK. Sprawy nie ratowały nawet imprezy-masówki. Oddział PTTK staje się pomału „klubem pracowniczym”.

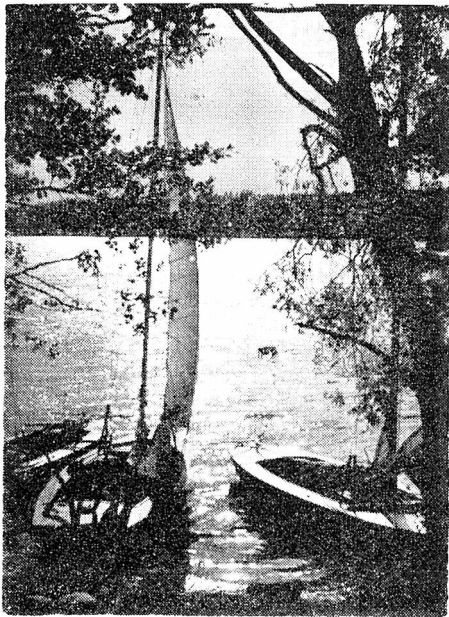
Coraz trudniej zorganizować tanie kursy narciarskie (schroniska wolały przyjmować ludzi, którzy hurtem wykupują noclegi, posiłki, a nawet instruktora), coraz mniej w górach prawdziwej ciszy. Zmieniają się czasy, zmieniają się ludzie, przybywa samochodów. Coraz więcej amatorów zyskuje sobie hasło „wygodnie i szybko”. Dziś Oddział musi „wyjść naprzeciw” oczekiwaniom i tendencjom. Póki jednak duch w narodzie, póki ostatni prawdziwy turysta na szlaku — póty warto kultywować wartości trwałe i nieprzemijalne.

Oddział dzisiaj

Tak jak w początkowym okresie, przy Oddziale PTTK działają trzy komisje i klub żeglarski „Grot”.

Aktualne formy działalności Oddziału:

- komisja turystyki górskiej (górskie wycieczki, obozy wędrownie, rajdy),
- komisja turystyki narciarskiej (narciarskie wycieczki i obozy szkoleniowe),
- komisja krajoznawcza (wycieczki turystyczno-krajoznawcze, imprezy krajoznawcze i klubowe),



Fot. Z. SZRETER

- klub żeglarski „GROT” (wycieczki żeglarskie, rejsy, obozy szkoleniowe),
- sekretariat (administracja, informacja, finanse),
- wypożyczalnia sprzętu (udostępnianie sprzętu narciarskiego i turystycznego).

Zmienił się może nieco profil imprezowy. Coraz mniej jest chętnych do korzystania z małych form wycieczek z dojazdem kolejowym. Powodzeniem cieszą się natomiast wycieczki typu autokarowo-pieszego, których organizatorzy starają się przemyścić jak najwięcej elementów turystyki kwalifikowanej i krajoznawczej.

Komisja turystyki narciarskiej podtrzymuje w tej dziedzinie tradycyjne szkolenia przez rezerwację pewnej licz-

by skierowań na wczasy organizowane centralnie (z reguły na terenie Dolnego Śląska). Czynione są też poszukiwania nowych terenów narciarskich (tegoroczny kurs w Ustrzykach Dolnych).

Nastąpiło pewne przeprofilowanie działalności klubu GROT, skierowane na włączenie szerszego kręgu uczestników. Przykładem są niedzielne wycieczki turystyczno-żeglarskie do Boszkowa. Skład Zarządu Oddziału PTTK na rok bieżący:

prezes — Witold KAZIMIERCZAK, v-ce prezes — Elżbieta NOWIŃSKA, v-ce prezes — Ryszard CZOCH, sekretarz — Teresa SZEKIERA, skarbnik — Grażyna CHRONOWSKA, przew. komisji turystyki narciarskiej — Anna MUSIALIK, przew. kom. turystyki górskiej — Jan FRANCIK, przew. kom. krajoznawczej — Barbara ROŻEK, członkowie zarządu: Wiktoria FRANCIK, Andrzej JABŁOŃSKI, Janusz JARMUŁA, Krzysztof JESIONEK, Maria NIEWIADOMSKA, Anna NOSEK, Marian PIERZCHAŁA, Aleksander STREUBEL.

Aktualny prezes doc. Witold Kazimierz piastuje swą funkcję od 8 lat. A oto co mówi na temat pracy Oddziału:

„Celujemy raczej na imprezy średnio masowe i niezbyt duże grupy. Nie widzimy ani sensu, ani możliwości organizacji imprez bardzo dużych, gromadzących setki uczestników. Wyjątkiem jest tu może Rajd Pracowników Politechniki (100–150 uczestników) ale traktujemy go raczej jako wyjątek potwierdzający regułę. Bazujemy na grupach kilkunastoosobowych (obozy górskie) lub na grupach o „pojemności autokarowej”. Rolę swą widzimy przede wszystkim w stworzeniu możliwości i akcentowaniu swojej obecności. Nie chcemy nic robić na siłę i trzymamy się zasady, by to co jest, było robione dla ludzi. Je-

żeli wzrosną potrzeby czy powstanie potrzeba innych form turystyki, jesteśmy w stanie to zorganizować. Sądzymy też, że sama nasza obecność na Uczelni, widoczna choćby przez tablice ogłoszeń, może zainspirować ludzi do uprawiania turystyki, nawet poza naszymi formami.

W wyniku przeprofilowania Oddziału, który faktycznie nie jest już środowiskowy, ale pracowniczy, Oddział w coraz szerszym zakresie przejmując funkcje Komisji Turystyki Rady Zakładowej. Stwarza to możliwość koncentracji sił i środków, a także koordynacji działalności turystycznej na Uczelni.

Wydaje się, że sam fakt działania w jednym środowisku, przy widocznym poparciu władz Uczelni i Rady Zakładowej ZNP, stwarza dobre warunki pracy. Mamy co prawda wąskie grono, ale grupę naprawdę oddanych działaczy, jak kol., kol. Wisia i Jan Francykowie, Barbara Rożek, Marian Pierzchała i wielu innych”.

Praca naszego Oddziału jest wysoko oceniana przez instytucje zwierzchnie. Świadczy o tym przyznanie Oddziałowi przez Zarząd Główny najwyższego odznaczenia PTTK — Złotej Odznaki. Wielu działaczy uhonorowano złotymi i srebrnymi odznakami tej organizacji. Ci, którzy byli i są silnie związani z działalnością naszego Oddziału, zyskali jednak coś znacznie cenniejszego niż wszystkie odznaczenia — przyjać, wrażeń, wspomnienia. Czy można chcieć czegoś więcej?

MAŁGORZATA KRAMKOWSKA

Pragnę serdecznie podziękować wszystkim tym, którzy okazali mi pomoc w opracowaniu tego materiału, a w szczególności p. Marcie Cybulskiej i doc. Wojciechowi Suskiemu — nieocenionym przewodnikom po historii i klimacie Oddziału PTTK.

Aby sport był potrzebą

NIEPOZORNY BUDYNECzek stojący na uboczu rejonu „C” Politechniki. Codziennie przechodzą obok niego setki osób. Odrapana brama. Zaraz za nią przyciemniona klatka schodowa. Kilkanaście krętych, śliskich betonowych stopni. Dla pewności trzymam się poręczy. Półmrok. Lepsze oświetlenie będzie pewnie po czymś upadku zakończonym złamaniem kończyny, lub wybiciem zębów. Na piętrze staję przed drzwiami z napisem „AZS Klub Uczelniany”. Ale zaczynajmy od początku.

Dnia 3 XII. 77 odbyła się Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza Pionu Sportu Masowego MKS AZS Politechnika Wrocławska — były klub uczelniany. Trochę długa nazwa, ale impreza o tak doskonałej oprawie w pełni na nią zasługiwała.

Zaproszenie otrzymałem trzy dni wcześniej — błyszczący kartonik elegancko zadrukowany. Początek godzina 10 sala 205 C-1. Niezbyt uśmiechała mi się perspektywa ranego wstawania w sobotę.

W holu dziesięć minut przed rozpoczęciem — długa kolejka. To osoby uprawnione do głosowania pobierały mandaty wy-

borcze i notatniki. Jako gość otrzymałem tylko notatnik, trochę mniejszy, ale nie mniej efektowny. W środku niespodzianka — kilka dodatkowych, zadrukowanych kartek zawierało porządek i regulamin Konferencji.

Wszędzie odczuwało się podniosły nastrój. Nie wiem, czy tworzyły go liczne przybyłe Czynniki Oficjalne, czy widok studentów pod krawatami. W kuluarach, przed rozpoczęciem, dyskusje. Tu i tam przemyciły sylwetki organizatorów. Wszystko było „zapięte na ostatni guzik”. Przechodząc do sali obrad, minąłem ekspozycję zdjęć z imprez sportowych. Proporczyki, emblematy, puchary wystawione na piętrze, to tylko niektóre efekty działalności AZS. Wszędzie widać wysiłek organizatorów.

W trakcie obrad dokonano wyboru nowego Zarządu Pionu (w liczbie dziewięciu osób) oraz delegatów na Konferencję MKS AZS i ZS AZS. V-ce prezesem MKS AZS Politechnika Wrocławska d/s Sportu Masowego został kol. Zbigniew Rak — student IV roku Wydziału Budownictwa.

Do godziny 14 wysłuchałem jeszcze kilkunastu referatów, sprawozdań, innych wystąpień.

W kilkanaście dni później, umówiłem się z v-ce prezesem Zbyskiem Rakiem. Stąd moja wizyta w siedzibie Klubu, od której zacząłem.

Za drzwiami czeka na mnie nowa niespodzianka. W rogu olbrzymi naciek na suficie. Tylko patrzeć jak zacznie się syścić tynk. Pod naciekiem — o ironio — biurko z krzesłem.

Pomieszczenie jest dość małe. Wokół stołu siedzi około 10 osób, o czymś zawzięcie dyskutują.

Siadamy w kącie, odgradzeni częściowo od reszty pomieszczenia regałami. Zbyszek mówi z entuzjazmem. Słucham, z rzadka wtrącając tylko swoje uwagi.

— Ramowy program działania nie zmienił się. Wypracowane przez poprzedni Zarząd formy pracy w zasadzie sprawdziły się. Sami planujemy wprowadzenie szeregu nowych metod działania. Widzisz, sport masowy powinien dotrzeć do wszystkich. Potrzeba uprawiania sportu jako formy spędzania wolnego czasu powinna być czymś takim jak potrzeba umycia zębów. Dwudziestokilkuletnim starszym jest zostać łatwiej niż myślisz.

Będziemy się starali położyć większy nacisk na działalność Klubów Instytutowych. Są one podstawowymi ogniwami AZS-u na Uczelni. Są wśród nich, niestety i takie, które istnieją tylko na papierze. Naszą ambicją jest, aby dorównywały choć do średniego poziomu. Podać ci jakie? Po co. Przyjdiesz za pół roku, czy rok, a z pewnością takich już nie będzie. Jestem optymistą. Jak tu nie być optymistą, kiedy mam działaczy i to działaczy z prawdziwego zdarzenia. Trzeba nimi tylko umiejętnie pokierować, a na efekty nie trzeba będzie długo czekać. Drugą bardzo ważną rzeczą jest rozbudowa naszej propagandy. Idzie mi o to, aby dotrzeć do wszystkich. Trzeba zmienić stosunek ludzi do sportu. Często jeszcze widok biegącego po parku człowieka w dresie wyzwała

u niektórych dość dziwne reakcje, łącznie ze znaczącym puknięciem w czoło. To wcale nie jest takie śmieszne. Propaganda będzie stwarzać właściwą atmosferę wokół sportu. Często przedawniona informacja działa jak antyreklama. Życie sportowe Uczelni jest ciągle i ciągle powinna być informacja o nim. A kto to będzie robił? Dział propagandy powiększył się w tym roku z kilku do kilkunastu osób, i to takich, na które można liczyć.

Jakie formy działalności będziemy kontynuować? Przede wszystkim Sportową Ligę Instytutów, akcje obozowe: Akcja LATO, Akcja ZIMA, Turnieje Centralne. Te rzeczy się już sprawdziły. Planujemy również coś zupełnie nowego. Biegi na azy-mut, rajdy na orientację, spływy kajako-we, kuligi czy szkółka tenisowa. Ta ostatnia jest dostępna dla pracowników i studentów. Jak widzisz, tenis przestaje być sportem elitarnym.

A z rowerami to była cała heca. Próbowaliśmy robić wycieczki, ale dostaliśmy

zdezelowane rowery, które przechodziły do-tychczas z magazynu do magazynu. Ci, co chcieli na nich jeździć, musieli najpierw przy nich dobrze popracować. Ale w su-mie wszyscy byli zadowoleni.

Powiem ci też ciekawostkę. W Klubie Instytutowym I-6 robiona jest już teraz systematycznie akcja „Biegaj z Prezesem”, i co najważniejsze, pomysłu chwycił.

To, że dotychczas niewiele się działo w akademikach, wynikało stąd, że były przed-tem poważniejsze sprawy i borykaliśmy się z większymi problemami. Teraz osiągnę-liśmy już taki stopień organizacji, że za-jęliśmy się i tym. Rozpoczęła działalność specjalna komisja, która zajmuje się orga-nizacją sportu i rekreacji w akademikach. Napisz jeszcze o rzeczy najważniejszej. Prawie wszystkie imprezy sportowo rekreacyj-ne są otwarte dla wszystkich studentów i każdy może brać w nich udział. I jeszcze jedno. Jeśli ktoś chce działać niech śmiało przyjdzie do nas. Pracy jest dużo, ale jeszcze więcej satysfakcji z niej.

Wynikiem tegorocznej reorganizacji spor-tu na naszej Uczelni było powstanie Mię-dzuczelnianego Klubu Sportowego AZS Po-litechnika Wrocławska. Tworzą go dwa główne Piony: Sportu Masowego i Sportu Wyczynowego. Prezesem został doc. dr hab. inż. Witold Charewicz. Władze Uczelni wy-tworzyły atmosferę sprzyjającą rozwojowi sportu. Z roku na rok przybywa obiekt-ów. Oprócz tego sport tworzą działacze, ale to działacze z prawdziwego zdarzenia, tacy którzy go kochają. Trudno tu nie wspomnieć o Wojtku Zawadzkiem, który jest obecnie sekretarzem KU, a który każdą wolną chwilę w trakcie studiów poświę-cał sprawom sportu. O Andrzej Szymań-skim, byłym prezesie KU, który tak dbał o Klub w trakcie swojej kadencji.

Jestem więc dobrej myśli i wierzę, że ambitne plany Zbyszka Raka i całego Za-rządu zostaną zrealizowane. Może nawet kiedyś droga do siedziby Klubu będzie wyglądać inaczej, niż obecnie.

BOGDAN RACZYŃSKI



Fot. M. GROTOWSKI

o sportową imprezę dla każdego

TAK SIĘ SKŁADA, ŻE JEŻELI na tych łamach możemy coś prze-czytać o sporcie, to najczęściej rzecz dotyczy sportu wyczynowe-go lub półwyczynowego (typu rozgrywek reprezentacji uczelni), czy nazwijmy to ćwierćwyczynowego (roz-grywki międzyinstytutowe). I nic w

tym dziwnego, sprawy te interesują większe grono osób, wyniki się liczą, zwycięzcy reprezentują już jakiś po-ziom. Najbardziej natomiast porusza-my sprawy imprez masowych, imprez, w których może wziąć udział każdy, kto tylko ma jako tako sprawne koń-czyny i ochotę się trochę poruszać, a przecież chyba na tych imprezach naj-bardziej zależy przeciętnemu studento-wi. Reprezentacje instytutów w po-szczególnych dyscyplinach stanowią, zwłaszcza w dużych instytutach, mały procent ogółu studentów, a poza tym, aby się do reprezentacji dostać, trzeba już coś umieć.

Gdyby więc poprzestać na rozgryw-kach międzyinstytutowych, sytuacja stałaby się paradoksalna: z obiektów i sprzętu korzystaliby studenci, którzy i tak są sprawni, bo tacy przecież re-prezentują instytuty. Prowadziłoby to do powiększania się różnic między sprawnością poszczególnych studentów — wysportowanym rosłyby bicepsy, a tym słabszym pozostałoby tylko płasko-stopie i skrzywienia kręgosłupa. A przecież chodzi nam o to, aby Poli-technikę opuszczali ludzie nie tylko ob-darzeni wiedzą i aktywni społecznie, ale także sprawni i zdrowi, przyzwyczajeni do uprawiania sportu.

Temu m.in. celowi służy działalność Pionu Sportu Masowego MKS AZS, oraz podporządkowana mu jest struk-tura organizacyjna klubu. Powstałe przed dwoma laty kluby instytutowe mają uaktywnić sportowo studentów na najniższych szczeblach organizacyj-nych, mają ułatwić organizację imprez sportowych w takich zespołach, do których studenci przyzwyczajeni są na co dzień: w instytutach, na poszcze-gólnych latach, i w grupach. Pierwszy etap pracy po utworzeniu Klubów In-

stytutowych dotyczył przede wszystkim rozgrywek międzyinstytutowych, obec-nie znajdujemy się na drugim etapie: udoskonalania form pracy wewnątrz instytutów. Mamy już cztery, pięć in-stytutów, w których działalność jest prowadzona bardzo dobrze, m.in. I-6, I-18, I-9. W niektórych słabiej, a w nie-kórych wręcz nie istnieje.

Jakie powinny być sportowe impre-zy wewnątrzinstytutowe, aby były rze-czywiście masowe, atrakcyjne i aby da-wały wszystkim chętnym możliwość wyżycia się? Oto przykład imprezy może jeszcze nie idealnej, ale już speł-niającej podstawowe założenia stawia-ne rekreacji.

W niedzielę 11 grudnia pojechałam na II Otwarte Mistrzostwa PPT w Nar-ciarstwie, organizowane przez KI-9. Autobus z akcji Ekspres-narty, jadą studenci z I-9 i I-18 oraz pracownicy tych instytutów, w sumie prawie 50 osób. W Zieleńcu pogoda piękna, wa-runki narciarskie dobre. Uczestnicy za-wodów „rozjeżdżają się”, w międzyczas-ie tyczki slalomu są rozstawione, za chwilę zawodnicy zakładają zdobyte w AKN-ie numery startowe. Sędzio-wie dysponują dwiema krótkofalówka-mi i stoperem. A więc sprzęt potrzeb-ny do zorganizowania zawodów dosyć skromny i możliwy do zdobycia. Atmo-sfera wspaniała, dobrze bawią się za-wodnicy i organizatorzy, którzy rów-nież startują, i sędziowie — ochotnicy. Wiek startujących — od kilkunastolet-niego rodzeństwa studentów PPT (któ-re sobie wcale nieźle radziło), do osób w wieku powyżej średnim. Zawody zdominowała reprezentacja rodzinna: rodzeństwo Tyczyńskich wygrało obie konkurencje, slalom mężczyzn i slalom kobiet. W pierwszej dziesiątce na me-die zjawił się również ich ojciec. Było trochę zawiedzionych nadziei — wypad-nięcie z trasy nie należy do najprzy-jemniejszych przeżyć, ale nawet ci „wy-padnięci” wracali do Wrocławia zado-woleni.

A jak wyglądają tego typu imprezy w innych instytutach? Co sądzą o tym sami zainteresowani, uczestnicy tych imprez? Może macie ciekawe propozy-cje — Kluby Instytutowe czekają na nie, a także na wszystkich, którzy mają trochę chęci i czasu, na wszystkich mi-łośników sportu.

BOGNA KRÓL

Sprostowania

1. Zaniepokojonych czytelników informujemy, że bohaterem wywiadu pt. „Judoka”, który zamieściliśmy w ostatnim n-rze „Sigmy” (3/86), jest Andrzej BIELAWSKI z I-25. Czytelników i p. Bielawskiego ser-decznie przepraszamy.

2. Do art. „O słuszny głos w dyskusji” („Sigma 3/86) zakradł się także błąd. Chcieliśmy podkreślić, że p. Irena Jun, o której mowa na str. 12 szp. 3, jest nie tylko szanowaną aktorką, ale także kierownikiem lite-rackim Teatru Studio J. Szajny.

NIECZĘSTO UDAWAŁO SIĘ wrocławskim studentom spotykać ostatnio z tzw. kulturą studencką. Zjawiska opatrzone tą etykietą, serwowane do niedawna, przyprawiać mogły o niestrawność nawet tych, którzy z kultury ż/ją, choć dopiero normalnych odbiorców. Przeciwnemu studentowi kojarzyła się ona raczej z faktem braku burdy na pałaczkowej czy katakumbowej dyskotecie (o to ostatnio było trudno) niż z autentycznymi faktami artystycznymi. Jedyne „Jazz nad Odrą”, tyle zresztą z akademickością mający wspólnego, co rentier z utrzymującym go bankiem, i AOT „Kalambur” z systematycznymi prezentacjami teatralnymi ratowały honor słynącego niegdyś znaczącymi imprezami środowiska. Trudno przecież uważać za organizacyjny sukces i autentyczny głos wrażliwych młodych umysłów Giełdę Akademickich Pomysłów Artystycznych, będącą pogrobowcem niesławnych „Z wizytą u Was”.

Niezbyt optymistyczną sytuację potęgował dodatkowo brak rzeczowej informacji, nie mówiąc już o reklamie. Spowodowało to, że w świadomości środowiska systematyczna akcja kulturalna to dziś dyskoteka, pałaczkowe piwo i obśmianie wszędzie „wieczorki przy świecach”.

Nielatwe zadanie stoi zatem przed świeżo wybranymi w organizacji studenckiej włodarzami kultury. Nowa komisja kultury w Zarządzie Wojewódzkim SZSP i nowe kierownictwo ACK „Pałacyk” (funkcje te nareszcie rozdzielono) czeka zmiana niedobrych zwyczajów i likwidacja zaniedbań zarówno w środowisku twórczym, jak i w jego materialnym zapleczu, tzn. w klubach studenckich. A tak po prawdzie, to przydałoby się jeszcze trochę zmian w kierownictwach tychże klubów w celu dokładniejszego oczyszczenia przedpola.

Odnowa sił twórczych, planowana na tegoroczną wiosnę, uzewnętrznić ma się w rozlicznych imprezach środowiskowych i uczelnianych.

Szczególnie interesująco zapowiada się V Tydzień Teatrów Studenckich (1—7 marzec). Zamiast, jak do tej pory, prób ekshumowania rozbitych praktycznie już grup, ma to być w bieżącym roku autentyczne forum amatorskiego teatru w wydaniu studenckim. Aż nie chce się wierzyć, że oprócz uznanych firm „Kalamburu” i „Gestu” (o „Nawiasie” nie wspominam...) działa podobno we Wrocławiu piętnaście teatrów, z czego na Uniwersytecie aż dziesięć. Niedostępność spektakli tych zespołów, z wyjątkiem kilku prezentacji podczas jubileuszu klubu „Index”, stawia problem, czy twórcy ukrywają się przed publicznością z racji kłopotów lokalowych, niskich lotów artystycznych, czy też może propozycji nazbyt ambitnych? Pierwsze dni marca udzielią nam odpowiedzi. Bardzo potrzebny jest w naszym środowisku twórczy ferment, bo w konfrontacji z innymi ośrodkami od dwóch lat, czyli od czasu wyróżnienia na zielonogórskim festiwalu teatrów debiutujących teatru „Ekspozycje”, niewiele mamy do pokazania w kategorii scenicznych debiutów. Próby prezentacji na poważniejszych imprezach kończyły się z reguły blamażem, jak choćby w ubiegłym roku w Lublinie.

Czasu na wytchnienie będzie niewiele, bo już na 16 marca wyznaczali sobie spotkanie jazzmani. Jubileuszowy XV Festiwal „Jazz nad Odrą” nie wymaga reklamy. Jazz nowoczesny jest

PROPOZYCJE



Fot. J. OLEK

PRAWIE NIE DO ODRZUCENIA Włodzimierz Kalicki

podobno muzyką niezwykle bliską studenckiemu sercu i uchu, co zresztą potwierdzałyby dotychczasowa frekwencja. Warto natomiast zwrócić uwagę na zwiększającą się ilość imprez towarzyszących w niewielkich klubach studenckich. Te nocne jam sessions najlepiej chyba są odbierane przez prawdziwych miłośników „starego, dobrego jazzu”. Ci, którzy od wewnętrznych przeżyć wola show, trafiają jak co roku do Hali Ludowej — po torby, kiełbaski, piwo, znaczki, koszulki i muzykę. Słowem każdy znajdzie pretekst, aby znów wydać po słowie za bilet na studencki jazz.

Jazzmani nie mają czasu na studia, a raczej z tego wieku już wyrosli, czego nie da się powiedzieć o piosenkujących turystach. I chwala im za to! Ogólnopolskie festiwale, konkursy, konfrontacje piosenki rajdowej (BAZUNA, YAPA, Szklarska Poręba) dały naszej kulturze wiele znaczących indywidualności wykonawczych i autorskich, a przy tym skończonych magistrów. W dniach 11—12 marca twórcy z naszego środowiska wykonają swoje śpiewy w Pałacyku, choć słuszniej byłoby chyba zrobić to przy ognisku. Zawsze zresztą zastanawiałem się, jak wiele jest jeszcze turystyczności w piosence wykonywanej z estrady, z elektrycznym instrumentarium, które na rajdowe trasy dowozić trzeba by co najmniej nyską.

Wątpliwości te zapewne nie przeszkadzają spotkać się nam z twórcami rajdowymi, występującymi tym razem w roli piosenkarzy ilrycznych. Oto bowiem między 6 a 9

kwietnia zaistnieją II Ogólnopolskie Dni Poezji i Piosenki Poetyckiej, połączone z koncertem eliminacyjnym do Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie.

Będą to wydarzenia z pewnością interesujące i ważne trudno bowiem przecenić znaczenie imprezy krakowskiej. I to nie tylko w lansowaniu nowych wybitnych twórców, ale przede wszystkim w kształtowaniu modelu piosenki ambitnej pełnej piękna, ale także autentyczności, uczciwości, prawdy. Trudno tych wartości szukać na innych krajowych festiwalach piosenki. Miło zresztą skonstatować, że Wrocław należy tu do potentatów. Od dwóch lat nagradzana pierwszą nagrodą BABA i wyróżnieni Małgorzata i Jacek Samborscy, czy też interesujący Jan Błyszczak, to wykonawcy znani i uznani. Przed kilku laty krakowskie laury zdobywała wrocławianka Teresa Iwaniśzewska, która w ubiegłym roku olśniewająco wypadła (dosłownie i w przenośni) na imprezie opolskiej. Miejmy nadzieję, że i w tym roku będziemy mieli coś do zaśpiewania.

Maj należeć będzie do naszej dobrej znajomej, Giełdy Akademickich Pomysłów Artystycznych. Jak na prawdziwą gapę przystało była GAPA do tej pory dzieckiem niechcianym, zagubionym, popychanym przez wszystkich. Polubili ją chyba tylko działacze odpowiedzialni za kulturalne statystyki. A może w tym roku znajdą się odpowiedzialni rodzice?

Kto nie ma ochoty konsumować sztuki studenckiej lub komu ta konsumpcja szkodzi, może wybrać spożycie twórczych fermentów w ekstrakcie teoretycznym na rozlicznych (bodaj czy nie liczniejszych od imprez jako takich) seminariach. Na ich czoło wybija się trzymiesięczny cykl seminariów poświęconych kulturze radzieckiej. Przy ich pomocy ewentualni chętni będą mogli uzupełnić sobie wiedzę z dziedziny filmu, teatru i literatury naszych wschodnich sąsiadów.

Gwoździem do seminaryjnego koszyka będzie niewątpliwie Międzynarodowe Seminarium na temat Teatru Instrumentalnego (nazwa jak najbardziej oficjalna). Co jest grane? Na to pytanie w dniach 16—18 XI odpowiedzą aktorzy z saksofonami w rękach. Oprócz tego przewidziano atrakcyjne próby otwarte.

Nie jest to mało propozycji, i zrealizowanie ich polepszyłoby kulturalną atmosferę w naszym środowisku. Pod warunkiem wszakże iż w mniejszych klubach studenckich dyskoteki i gorzałka nie wyczerpią inwencji ich kierownictw. Prawda jest bowiem taka, że sfera działalności twórczej opiera się na kameralnych klubach w stopniu co najmniej takim samym jak na uznanych centrach ze stosownym zapleczem gastronomicznym. Zresztą centrów tych oprócz „Pałacyku”, nie ma. Jego dyrektorzy mogą spać spokojnie, bo ze strony politechnicznego Ośrodka Kultury Studenckiej nic im nie grozi. Pomoc także. Rolnicy oddają się w „Katakumbach” i okolicach uciechom imprez zamkniętych a „Index” jest po prostu zbyt mały aby spełniać rolę prawdziwego centrum uniwersyteckiego.

Tak więc wkraczamy w nowy rok kulturalny z dorobkiem godnym reklamy, jaką mu sprawiono, i każde osiągnięcie winniśmy witać głośnym „hosanna!”. A zatem dobrego apetytu, konsumenci studenckiej kultury!

Dwa grzyby w barszczu.

Czyli: za co lubimy science fiction?

POGŁĘBIAJĄCY SIĘ ROZDZIAŁ między świadomością potoczną i poznaniem naukowym powoduje, że coraz rzadziej mamy do czynienia z sytuacją, kiedy efekty pracy uczzonego satysfakcjonują nosiciela świadomości potocznej. Innymi słowami, związane z nauką wyobrażenia i wartości społeczne funkcjonujące w obrębie świadomości potocznej w coraz mniejszym stopniu mogą być bezpośrednio przez naukę realizowane. Z drugiej strony „naukowość”, różnie rozumiana (pisze o tym np. Ernest Nagel na pierwszych stronach „Struktury nauki”), stała się w świadomości potocznej autonomiczną wartością, poszukiwaną na terenie innych niż nauka odmian praktyki społecznej — mam tu na myśli praktykę artystyczną i pseudonaukową.

Substytutem owej wartości jest między innymi science fiction, szczególnie w swej popularnej postaci. Epistemologiczna analiza tekstów tego gatunku literackiego pozwala w pewnym stopniu rozpoznać sferę owych potocznych wyobrażeń i wartości, a więc „zapotrzebowania” zgłaszanych przez świadomość potoczną naukowej praktyce, które bądź nie mogą być w ramach aktualnego paradygmatu zrealizowane, bądź są w ogóle nierealizowalne.

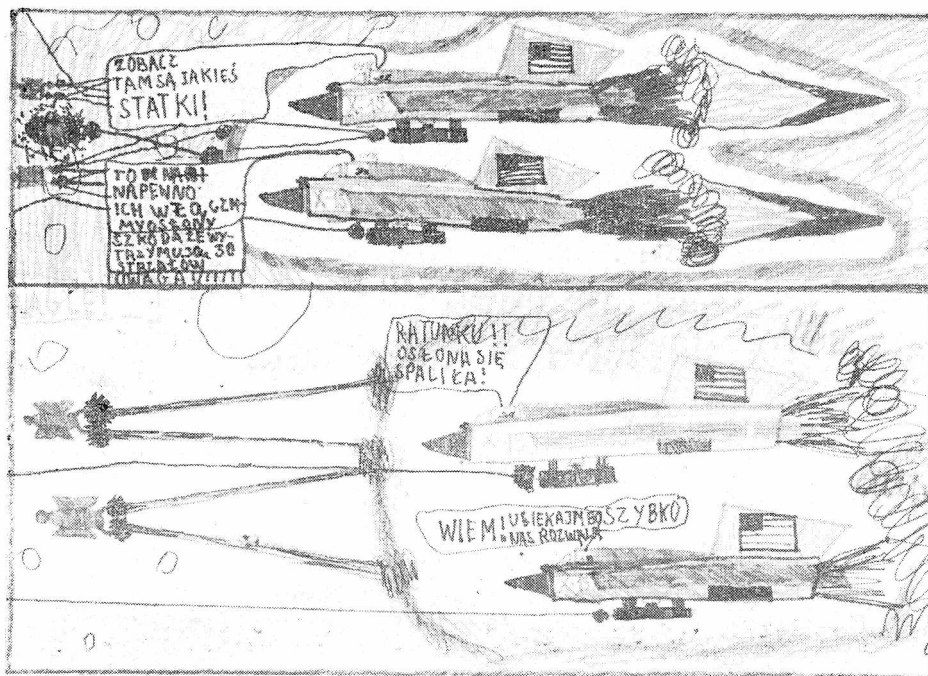
Nie jest rzeczą przypadku, że science fiction, jako gatunek, pojawia się dopiero w końcu ubiegłego stulecia (podkreślane przez wielu krytyków elementy fantastyki w utopiiach Rabelais'go, Morusa czy Swifta służyły przede wszystkim podejmowanej tak krytyce społecznej, a więc w okresie, kiedy rewolucja techniczna powoduje wzrost zainteresowania teoriami naukowymi, a równocześnie coraz mniej-

sza ich intuicyjność zainteresowanie to kieruje w stronę przystępniejszej niż publikacje naukowe — naukę przywołującej w swej nazwie — twórczości literackiej. Ów zastępczy charakter powieści fantastyczno-naukowej spowodował właśnie pochopne klasyfikowanie całej science fiction do literatury drugorzędnej, zamykanie jej w „literackim getcie” gatunków podrzędniejszych, o czym z taką goryczą pisze Stanisław Lem w „fantastyce i futurologii”. Dlaczego tak się dzieje? Otóż chcąc pozyskać odbiorcę „fantastyka” owa powinna spotykać się z całkowitym zaufaniem czytelnika. I to nie dlatego, by pozostawała na poziomie jego poglądów i wyobrażeń — pisze Julij Kagarlicki. Czego zatem oczekuje czytelnik od tego rodzaju literatury? Od niej samej — wiarygodności. Do tego wszak zobowiązuje pierwszy człon nazwy „science fiction”. Dlatego też, czytamy dalej w wydanej ostatnio książce Kagarlickiego, „fantasta może korzystać nie tylko z tego, w co wierzą mu współcześni, ale i z tego, jak oni myślą, a więc z uznanego sposobu myślenia, wytwarzającego specyficzne warunki wspólnoty intelektualnej z czytelnikiem”. Przykładów na tak realizowaną wiarygodność (utożsamianą ze swoiście pojmowaną „naukowością”) dostarcza niemal każdy tekst w obrębie popularnej science fiction, zarówno dziewiętnastowiecznej (choćby u Herberta George'a Wellsa czy Juliusza Verne), jak i współczesnej (np. u Isaaca Asimova). St. Lem osiągnięcie owej wiarygodności nazywa „imitowaniem weryzmu”, równocześnie zwracając uwagę na jeden z wielu grzechów głównych, jakich fantastyka naukowa dopuszcza się wobec nauki. Jest nim

„rozwiązywanie” fantastycznych z punktu widzenia dotychczasowej wiedzy problemów, czy też tworzenie fantastycznych konstrukcji fabularnych (np. zbadanie całej planety przez dwuosobową ekipę), posługując się przy tym dobrze znanym, współczesnym paradygmatem. Grzech ten jest oczywiście skutkiem chęci uwiarygodnienia fikcji, chęci pogodzenia za wszelką cenę jej fantastyczności z naukowością, rozumianą przez autorów jako respektowanie ustaleń nauki instytucjonalnej.

Takich grzechów popełnia science fiction znacznie więcej. A są one zawsze rezultatem wychodzenia naprzeciw pewnym oczekiwaniom odbiorcy. „Podejście science fiction do teorii naukowych jest bardzo praktyczne — konstatuje J. Kagarlicki — fantastyka może każdą teorię wykluczyć ze sfery swych zainteresowań po prostu dlatego, że teoria ta osiągnęła pewien wiek; może ona nadal pozostawać słuszną — lecz fantastykę odstępować od niej fakt, że jest to teoria bezsporna”. Wiarygodność nie jest więc oczywistością i nie może być z nią tożsama. Dlatego najsłabsza nawet teoria naukowa traci dla fantastyki swoją atrakcyjność, jeśli — mówiąc słowami Herberta Butterfielda — stała się paradygmatyczna dla świadomości potocznej. Im bardziej nieintuicyjna jest teoria, tym chętniej wykorzystuje ją science fiction, tym też łatwiej dopuszcza się wobec niej uproszczeń i wpada w pułapki paradoksów i antynomii. Spowodowane jest to zarówno niekompetencją wielu autorów popularnych powieści, jak i, w wypadku autorów kompetentnych (wielu z nich to przecież profesjonalni uczeni, żeby wymienić tylko Artura C. Clarke'a, Freda Hoyle'a, I. Asimova czy Konrada Fijałkowskiego), dopuszczalną przez poetykę gatunku, a nawet przez nią zakładaną, „nieuczciwością” wobec ustaleń nauki. Oczywiście nie jest to generalny zarzut pod adresem autorów science fiction, jeśli zgodzimy się z uwagą St. Lema, że „grzech przeciw nauce nie musi być grzechem przeciw estetyce”. Faktem jednak pozostaje, iż literatura fantastyczno-naukowa jest często przez tzw. normalnego odbiorcę traktowana jako źródło informacji na temat osiągniętych przez naukę rezultatów badań oraz jej aktualnych czy przewidywanych możliwości. Faktem jest też, że dla „uzasadnienia” fikcyjnych konstrukcji fabularnych autorzy posługują się niefikcyjnymi, bo legitymującymi się wieloma publikacjami i większym czy mniejszym gronem zwolenników teoriami pseudonaukowymi, jakie zawsze towarzyszą uznanym bądź

Rys. Kuba, lat 9, fragment komiksu



będącym przedmiotem dyskusji teoriom stricte naukowym. Dla przykładu — szereg utworów eksplloatujących pomysł poruszania się wewnątrz globu ziemskiego (wśród nich znana u nas „Podróż do wnętrza Ziemi” J. Verne’a) opiera się na słynnych swego czasu pseudonaukowych teoriach Johna C. Symmesa i Marshalla P. Gardnera. Fantastyczne rozwiązania techniczne, jak „hyperdriver” czy wehikul czasu, uzasadniane są przy pomocy teorii nie dających się empirycznie sprawdzić, lecz podawanych jako naukowe. Dzieje się tak dlatego, że fantastyczne sztuczki, w związku z którymi — jak pisze Vera Graaf — „science fiction domaga się świadomego zawieszenia sceptycyzmu”, czytelnik pragnie traktować poważnie, wymaga więc, aby nauka została wyłączona z obszaru literackiej fikcji. Oczekuje się, że jego ufnosć we wszechmoc rozumu potwierdzi nauka instytucjonalna, od niej domaga się rozwiązywania najfantastyczniejszych zadań, nie troszcząc się o to, że w ramach aktualnego paradygmatu nie tylko ich rozwiązać, ale nawet sensownie postawić nie można.

Postulat St. Lema, aby twórca science fiction kreując fantastyczny świat „rozstrzygał” jego problemy w ramach obmyślonego przez siebie dla potrzeb tychże problemów — a więc fikcyjnego — paradygmatu, pozostanie zapewne długo jeszcze w sferze pobożnych życzeń. Bo choć, jego zdaniem, książka taka „nadawałaby się wybornie do lektury”, nie mogłaby ona materializować wartości, jakie świadomość potoczna wiąże z nauką: wiary w możliwość ostatecznego rozstrzygnięcia wszelkich problemów, jakie jawią się lub mogą się jawić w otaczającym świecie.

Idea kamienia filozoficznego, zrodzona w przednaukowym okresie rozwoju wiedzy, w świadomości potocznej nie straciła aktualności, gwarantując science fiction trwałą popularność, mimo — a właściwie dlatego właśnie — iż jest to działalność intelektualna, która — jak powiada Raymond Ruyer — „nie wzdyga się przed małymi oszustwami”. Jak każde tworzenie substytutu.

UDANA PREMIERA „KALAMBURU”

Lech Isakiewicz

DWIE OSTATNIE PREMIERY „Kalamburu” łączą z sobą tylko nazwiska niektórych wykonawców. Trudno bowiem znaleźć jakikolwiek punkt styczny pomiędzy spektaklem „Biała skrzynia” opartym o teksty Urszuli Koziół, a prapremierą nieznaną dotąd „sztuki” Gombrowicza — „Historia”. Świadomie ująłem w cudzysłów słowo sztuka, bowiem spektakl przygotowany przez zespół „Kalamburu” pod kierownictwem młodego reżysera, Kazimierza Skorupskiego, to kompilacja; odkrytego po śmierci Gombrowicza niedokończonego szkicu — bo trudno nawet powiedzieć scenariusza — spektaklu, który Skorupski nazwał „Historią”, wplecionych weń wątków z „Ferdynandem” i „Dzienników” oraz intermedii napisanych i nagranych specjalnie do spektaklu przez Andrzeja Poniedziałskiego.

W napisanej dla wydawnictwa „l’Herne” przez samego Gombrowicza biografii, pod datą — 1955, przeczytać możemy między innymi: „Zaczynam pisać »Operetkę«”. Ponieważ „Operetka” napisana została w rzeczywistości dopiero w roku 1958, można domniemywać, że była to właśnie „Historia”, czyli pierwotna wersja — niedokończona zresztą — „Operetki”. Tę właśnie wersję wziął na swój reżyserki warsztat Kazimierz Skorupski montując zeń nową — pod względem teatralnym — jakość.

Cały spektakl jest niezwykle prosty w swojej warstwie literackiej. Kilka luźnych z pozoru scen połączonych z sobą śpiewanymi w intermedii pieśniami studenckiego wokalisty — Andrzeja Poniedziałskiego. Sceny te łączą z sobą postać bohatera-narratora, Witolda Gombrowicza. Młody Gombrowicz odbywa w czasie trwania spektaklu wędrowkę poprzez różne miejsca w czasie i w przestrzeni. Od domu rodzinnego, poprzez szkołę, komisję poborową, wojsko, aż po dwory panujących — Mikołaja II, czy cesarza Wilhelma. Jeżeli dodać do tego Józefa Piłsudskiego oraz — przez moment tylko występującego w spektaklu — Adolfa Hitlera, jasnym stanie się koło jakich spraw cały czas obraca się „ideologia” przedstawienia. Sam dobór historycznych nazwisk świadczy, że utwór — przede wszystkim — Polsce został poświęcony.

Podczas gdy w „Operetce” naczelnym hasłem jest nagość, w „Historii” na plan pierwszy wysuwa się bosość. Idei bosości wyzwolonej, bosości czystej, bosości niewinnej, podporządkowane zostaje postępowanie bohaterów dramatu. Bosość to panaceum na wszelkie dolegliwości — zarówno rodzinne, jak i polityczne. Bosość uwalnia od zakłamania, choć jednocześnie potrafi wyzwolić bohaterstwo. Obuży Piłsudski — wielki, mądry i groźny — po zrzućeniu jednego tylko buta staje się groteskowy. Obuta rodzina — pryncypialna i żyjąca zgodnie z uznawanymi od wieków zasadami, po zdjęciu butów staje się zła, cyniczna i hołdująca najgorszym instynktom. Komisja egzaminacyjna — szacowne ciało pedagogiczne — obuta, jest sztywna i przekonana o własnej doniosłej roli, a przy tym

nieznośnie nudna, po zdjęciu butów staje się operetkowa, lecz jakże sympatyczniejsza. Buty są w „Historii” atrybutem spełnienia i zakłamania, bosość — wyzwoleniem. Boso, ale w ostrogach! — czy to nie typowe, najbardziej oddające jej narodowy charakter — przysłowie Polski?

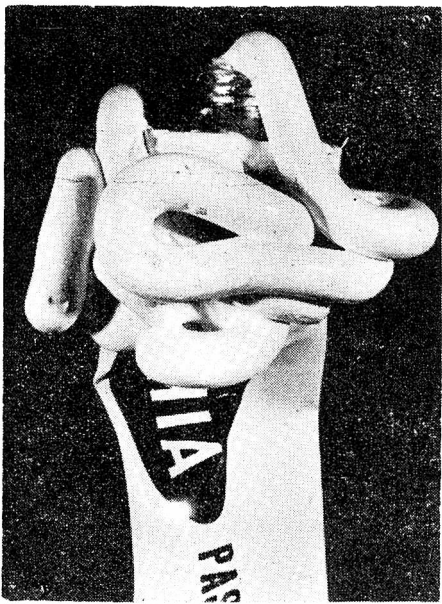
O ile inscenizacja przedstawienia jest przykonywająca; bardzo prosta i czytelna — o tyle sam spektakl ma wiele momentów nie przynoszących mu wielkiej chwały. Winą za to można by obarczyć samego... Gombrowicza, gdyby nie fakt, że autor „Ferdynandem”, sztuki — celowo przecież — nie dokończył, zostawił w brulionie i właściwie zaliczył do juveniliów. Usiłował temu zaradzić Skorupski, ale nie wyszło mu to w pełni. Zbyt wiele bowiem w spektaklu miejsc pustych, sztucznie fragmentami innych dzieł Gombrowicza wypełnionych. Zbyt często przedstawienie rwie się, nie wytrzymuje narzuconej na początku dramaturgii. Niezbyt szczęśliwym pomysłem wydaje mi się wprowadzenie piosenek Poniedziałskiego, które same w sobie znakomite — w zderzeniu z Gombrowiczem wypadają błąd, a jednocześnie przysądza spektaklowi niepotrzebnej „studenckości”. Podobny zarzut można postawić pomysłowi „watowania” niektórych dialogów fragmentami „Ferdynandem”; dowolność interpretacji reżysera poszła tu — moim zdaniem — zbyt daleko.

Taka forma spektaklu jaką zaproponował Skorupski wymaga od aktorów niezwykłej wszechstronności. Szóstka „kalamburowców” w każdej scenie kreuje inne postaci. Jolanta Chelmiczka — najdojrzałej zresztą grająca — wciela się to w Matkę, to w Nauczycielkę, to w Lekarkę z komisji poborowej, to w Carycę Aleksandrę, żonę Mikołaja II; Stanisław Lubowiecki jest Ojcem, Dyrektorem Szkoły, Przewodniczącym Komisji Poborowej, Cesarzem Wilhelmem, Mikołajem II. Naczelnikiem Piłsudskim wreszcie; Elżbieta Lisowska — Siostrą, Nauczycielką, Pielegniarką, Dziewczyną Współczesną. Mnogość postaci — zarysowanych tylko, bez możliwości „głębszego” w nie wniknięcia — zmusza aktorów do wydobycia kilku charakterystycznych dla nich rysów, co z kolei wymaga nie byle jakiego kunsztu, nie mówiąc już o doskonale opanowanym rzemiośle. Nie wszyscy — niestety — umieli sprostać temu zadaniu, co właściwie nie powinno być zbyt wielkim żmartwieniem, gdyż — podejrzywam — niewielu zawodowych aktorów potrafiłoby sprostać tak postawionemu przed nim zadaniu.

Mimo tych kilku uchybień, które w trakcie „rozegrania się” zespołu powinny w ogóle zniknąć, kalamburowska prapremiera najnowszej i nieznannej dotąd sztuki Gombrowicza, która tylko dzięki inicjatywie Kazimierza Skorupskiego została w ogóle polskiemu widzowi pokazana — już tylko za to należą mu się słowa uznania — należy do najciekawszych przedstawień studenckiego teatru jaki w okresie ostatnich dwóch lat oglądałem.

Akademicki Ośrodek Teatralny „Kalambur”. Witold Gombrowicz: „Historia”. Scenariusz i reżyseria: Kazimierz Skorupski. Scenografia: Marek Pijet. Muzyka: Rafał Augustyn.

Fot. M. RATAJCZAK



Forum na Forum

FOTOGRAFIA JEST DZIEDZINA zmieniająca gwałtownie oblicze sztuki współczesnej. Równie gwałtownie wzrasta zainteresowanie tym „utrwalaczem rzeczywistości”, będącym jednocześnie obiektywnym i subiektywnym, a nade wszystko trudnym do ogarnięcia, szybko rozwijającym się żywiołem. Media docierają do nas lawiną obrazów, doskonale zdajemy sobie sprawę, że za ich pomocą kreuje się przeróżne postawy. Wiele obrazów powinna wykształtować w współczesnym człowieku zdolność selekcji, ale żeby móc selekcjonować na lepsze i gorsze, trzeba mieć wykształcone to, co zwykle nazywamy „kulturą wizualną”. Znakomitym miejscem do tego typu praktyk są spotkania „FORUM” we Wrocławskiej Galerii Fotografii, ale o tym później.

Obraz będący wiernym odbiciem rzeczywistości dość mocno się już skompromitował. Nie oznacza to bynajmniej jego kresu, będzie on funkcjonował w niezmienną postaci „zdjęcia” jeszcze przez wiele lat. Ważna jest zdobywana świadomość, pozwala ona racjonalnie i z większym pożytkiem wykorzystywać materię fotografii.

Wieleś, niejednokrotnie sporadycznych działań, nie ułatwia syntezy zjawiska, dlatego też pożyteczne było wydanie przez Okręg Katowicki ZPAF-u katalogu pt. „Stany Graniczne Fotografii”, będącego zbiorem propozycji usiłujących badać zakres działania fotografii. Nie wszystkie z prac zasługują na uznanie, ale po obejrzeniu katalogu można sobie wyrobić ogólny pogląd na to zjawisko współczesnej fotografii.

Siedemnastego grudnia 1977 roku we Wrocławskiej Galerii Fotografii odbyło się pierwsze Forum FOTO-MEDIUM-ART pt. „Fotografia jako fotografia”. Brali w nim udział — Natalia LL, Zbigniew Dłubak, Andrzej Lachowicz, Sławomir Magala i Jerzy Olek. Sam skład osobowy sugeruje już problem jakim się zajmowano. Rozważania dotyczyły przede wszystkim obszaru fotografii i związanych z nim procesów. Czy istnieje fotografia realistyczna? Czy fotografia jest ahisteryczna? Mimo że nie odpowiedziano na tego typu pytania, to samo już ich postawienie i omówienie jest krokiem do sformułowania twierdzeń. Jerzy Olek w jednym ze swoich artykułów pisał: „Mimo całego bogactwa kolorystycznego otaczającej nas ikonosfery, silniej zdaje się przemawiać do nas, wyraźnie wyodrębniający się z niej, świat czarno-białych obrazków. Być może ową szczególną właściwość na ekstremalnie kontrastowy walor spowodował druk nieustannie przenikający nas milionami czarnych czcionek”. Jakkolwiek Forum I nakreśliło grubą krechę pewne problemy czy tendencje (o tendencjach w sztuce mówił Andrzej Lachowicz), to pozostawiło pewien niedosyt. Zbyt szybko i pobieżnie mówiono o zawilej problematyce.

Forum II, odbywające się pod hasłem „Fotografia jako relacja”, poświęcone głównie reportażowi, było barwne spotkanie, inte-



Fot. J. LALAK

resującą zaaranżowaną, z udziałem Krzysztofa Barańskiego, Andrzeja Baturę, Aleksandra Jajosńskiego, Krzysztofa Kąkolęwskiego i Wiesława Prażucha. O reportażu mówi się wiele, choć rzadko w tak fachowym gronie. Główny problem nurtujący współczesny reportaż, to jego niezmienna od lat forma, nie gwarantująca ścisłości przekazu poza skrajnymi przerysowaniami. Wypracowanie „reportażu nowego” nie będzie sprawą łatwą. Stereotypy i schematy zdają się tkwić w tym gatunku o wiele mocniej niż w innych. W odróżnieniu od pozostałych form fotografii, reportaż ma ściśle wytyczone zadania będące jego duszą. Całkowita zmiana „ciała” przy zachowaniu niezmienności duszy jest nie tyle problemem metafizycznym co skomplikowanym. Toteż głosy wyżej wymienionych uczestników Forum II są podwójnie cenne w tej sprawie.

Hasło programowe Forum III brzmi „Fotografia jako tworzywo”. Interpretację jego dali: Urszula Czartoryska, Jaroslav Anděl, Jan Kurowicki, Grzegorz Sztabiński, oraz Janusz Zagrodzki. Do relacji z przebiegu tej ciekawej dyskusji powrócę jeszcze w szerszej publikacji.

W domku Romańskim odbyło się również pierwsze spotkanie z cyklu „Foto-integracje”. Zainicjowane i prowadzone przez Andrzeja Saja „Inspiracje zwrotne”, to mariaż fotografii z poezją i poezji z fotografią. W pierwszym spotkaniu pięć prac foto-

graficznych, pięciu fotografików, inspirowało pięciu poetów z Koła Młodych przy ZLP (nazwiska poetów: J. Gałek, C. Kamiński, J. Strzdała, W. Śmigieński i J. Woźnica). Wiersze, które powstały, oceniane były przez krytyków i publiczność. Dyskusja, mimo że nie przyniosła jakich wymiernych rezultatów, poruszyła sprawy, które prawdopodobnie będą miały wpływ na projektowane już dalsze imprezy tego typu. Autorzy nie zakładają dogmatycznie celu, by mógł on być kształtowany przez ewentualne problemy pojawiające się na imprezach wcześniejszych.

Wynikiem drugiego spotkania „Foto-inspiracji”, były fotogramy, których źródło inspiracji stanowiła poezja oraz bardzo żywa dyskusja. W spotkaniu brali udział fotograficy: A. Baranowski, A. Figura, J. Lalak, J. Liebersbach, A. Rutyna, poeci: U. Benka, M. Bocian, S. Beres, M. Ratajczak. A. Saj, krytycy: J. Olek, A. Więckowski. Zderzenie dwóch materii — poezji i fotografii, buduje nowe znaczenia, z których widz stwarza sobie własną wizję. Kombinacja dwóch czynników daje praktycznie nieograniczone możliwości. O tym, czy wyniki będą równie ciekawe, jak zamiary, zdecydować dalsze spotkania-poszukiwania. Niezależnie od finału, cykl foto-inspiracji jest ciekawym, i co ważne — otwartym na nowe propozycje zjawiskiem.

ANDRZEJ BARANOWSKI

Fot. M. GROTEWSKI



SZTUKA, A DWAKROĆ POEZJA, nie jest li tylko odzwierciedleniem egzystencji, tworzeniem listy „grzechów i świętości człowieka”, podejmowaniem problematyki jaką zawsze stawia życie; to zaledwie wstęp do rozpoznania, za którym istnieją szanse tworzenia, zrozumienia. Sam termin „tworzyć” sugeruje, że twórca świat i historię człowieka prze-formowują wedle ściśle przyjętej zasady zrozumienia. Należy przypomnieć jedną „żelazną zasadę” — każdy wytwór powołany przez człowieka jest równoległy w akcie tworczym porażony „istotą tegoż człowieka” i bez względu na „sens czy bezsens” jest „mową o człowieku”, wiedzą, na którą odbiorca wyrazi zgodę lub nie, co jest w finalnym spełnieniu się „dzieła” procesem na wskroś pozytywnym, składającym się na poznawanie świata i człowieka. Mówienie, że współczesna m.in. poezja nie ujmuje rzeczywistości, jest irytującym banałem.

Poezja konkretna jest otwartym eksperymentem, ukierunkowanym bardziej na rozpoznawanie samego kontaktu człowieka ze Słowem, Językiem!

W pełni potwierdza to wystawa mająca miejsce w Galerii „Jatki” (wernisaż odbył się 16. I. 78) na której zaprezentował swoje „pojęciokształty” — S. Dróżdż, „ex motu II” W. Sztukowski i prace Marzena Kosińska. Powiedzmy (przypominając to co oczywiste) — jeśli wszystkie odczucia człowieka powstają tylko w nim, to on jest ich jedynym i wyłącznym autorem. Jeśli tak, to równoległe dostrzegamy, że kształt słowa jest uzależniony od indywidualnych przeżyć i odczuć. Kształt słowa był i będzie względnie dowolny. I ta właśnie względność wnosi wiedzę o odmiennych kontaktach człowieka ze światem, o subiektywnych przeżyciach, które w „akcie twórczym”, dziele, obiektywizują się „dla” drugiego człowieka. We wszystkich wymienionych pracach konkretystów zauważa się wspólny temat — względność słowa, inaczej jednak ujmowana. Najbardziej to zostało ukazane w pracach M. Kosińskiej, m.in. ukazanie w formie X przenikających się słów „lewnica” i „prawica”.

Wykrycie samej mechaniki powstawania „względności słowa” nie jest w poezji konkretnej „zniszczeniem” tego słowa, bądź ukazaniem okaleczonego (przez nadużywanie) sensu, wręcz odwrotnie. Magią, wręcz „wiedzą” poezji, jest to, że czyni ona „znane słowa”, znów tajemniczymi — rzeczywistością Nieznaną, nadając im taki stan „zmartwychwstania”, poprzez inne odniesienia, tak na relacji człowieka, jak i świata zewnętrznego.

Nieznane, słowo tajemnicze kusi (=raduje) człowieka obietnicą raju. To właśnie „poezja konkretna” stworzyła dowód, że nie ma żadnych „martwych”, pustych słów. Dramat „ubezsensowania” słowa, ma zupełnie inne źródło, którym jest „brak” odniesienia ku temu co ma ono „wyrażać”. Człowiekowi nie wolno niszczyć żadnego zastanego słowa, lecz je ożywiać własnymi doświadczeniami i przeżyciami. Czy nie zmiana przeżyć „w” człowieku jest właśnie motorem zmian słowa, języka?

— Poezja konkretna, penetruje ten temat w formie eksperymentalnej. Okazuje się, że ciągłość życia ludzkiego — i tu zawiera się „magia” poezji — ukazać można przez „głupie” (prymityw użyje zawsze takiego określenia) „cdn” i „itd” jak uczynił to S. Dróżdż.

Marianna
Bocian

CZŁOWIEK I SŁOWO

Odwiecznym ideałem, najstarszych kultur na globie było to, co i we współczesności ma miejsce, aby w „jednym” słowie ująć kosmos, wedle metaforycznego określenia — „morze zawiera się w kropli wody, a kropla morza ukrywa morze”. Poezja konkretna nie jest jakimś dziwolągiem, lub czymś „nowym”. Pragnienie ukazania „złożoności życia i świata” w jednym, i przez jedną rzecz i słowo, jest obecne w najstarszych zapisach, jakie powołał Człowiek. Jest ono obecne w pracy m.in. „Jestem” Wojciecha Sztukowskiego. Pitagoras (albo Anaksagoras) stwierdził — wystarczy umieć powiedzieć światu JESTEM, by osiągnąć zbawcze milczenie. To prawda. Trzeba być geniuszem pokroju Paganiniego, by „wygrać świat” właśnie na jednej strunie. Potęga czy skarlenie słowa — zawiera się li tylko w Twórcy.

Powiedzmy, poezja konkretna posługuje się jednym, nie zawsze uświadomionym (ale intuicyjnie odczuwalnym) założeniem — ukazać, że „wszystko jest

w JEDNYM”, a jedno jest we WSZYSTKIM. Nie ma tu miejsca dla hochsztaplerów, którzy przez lata czynili poczynania na konto „poezji konkretnej”. Ta forma jest osiągalna tylko dla umysłów precyzyjnie, właśnie filozoficznie, ujmujących „słowo”. Po wielu latach, można stwierdzić, że autentycznych tekstów „poezji konkretnej” powstało niewiele. Eksperyment w sztuce spełnia się również wtedy, gdy obnaża to, iż pewne nadzieje zawiodły, okazały się „ślepyimi zaułkami”. Trud nie jest „nadaremny”, bo staje się znów podstawą, wkroczeniem w Nieznane dla umysłu ludzkiego, kontaktu ze światem. Kontakty te są ryzykowne, ale bez ryzyka, intelektualnego „szaleństwa”, nie ma rozwoju sztuki.

Patrząc na dokonania S. Dróżdża, W. Sztukowskiego, M. Kosińskiej, wiem, że różnimy się i stanowimy pewnego rodzaju „opozycję”. Osobiście dążyłam do uczynienia „konkretności i słowa” — Nowym Symbolem. Nie zawsze „do-rzeczność słowa” jest pełną integracją, człowieka z tym właśnie słowem. Polską poezję konkretną wyróżnia pozytywnie różność penetrowania Języka. W eksperymencie „tożsamość” jest wręcz przysłowiozą „brzytwą”. Jeśli powstają dwa teksty wedle jednej zasady, m.in. tekst „ścieżki” M. Kosińskiej (słowo rozpisane na wzór właśnie „ścieżek”), a więc — znaczenie słowa jest tożsame z jego kształtem, co czynił od początku S. Dróżdż, to ten tekst jest wtórny. Wtórny i banalny jest tekst również „Od-do”, tejże autorki. O wiele ciekawszym okazuje się jej praca „model do składania”. Interesującym zapisem jest również zapis W. Sztukowskiego „idę” (symbol Jedynki, rzucającej cień na symbolicznie ukazany „świat sensów”). Już tak jest, że pewne rzeczy nam się bardziej lub mniej podobają. Warto podkreślić, jedno — nie ma na tej wystawie żadnego „bubla”. Nie ma jednak „tekstu” uniwersalnego, nie ma takiej pracy, która by właśnie szokowała. Powiedzmy — jest to poprawność na poziomie europejskim, ale... zawsze tak jest, że od uznanych twórców oczekujemy czegoś wyjątkowego. Nie ujmuje to znaczenia prezentowanym pracom. Nie.

Poezja konkretna, to ukazywanie rozpoznawcze samych kontaktów władz poznawczych człowieka ze słowem. To kolejny dowód, że człowiek w sztuce, choćby nawet pragnął, nigdy nie wyjdzie poza pole grawitacyjne, którym jest on sam. Że to, co czynią konkretyści, może szokować, denerwować, zdumiewać? — Oby taki stan był zawsze obecny. Zadaniem wszelkiej sztuki (nie jedynym) jest to, aby znosiła ona nudę i stagnację myślenia w człowieku. Życie boi się próżni, dlatego jest przeżywaniem, które nie tylko dokonuje się w wymiarze „egzystencji”, ale w różnorodnych porządkach m.in. intelektualnym, duchowym, etc. Poezja konkretna nie jest żadnym, jak głoszone, wygłupem, choć wiele w niej jest rzeczy płytkich, nie przemyślanych do końca, przypadkowych. Sztuka poszukująca nie może nie popełniać błędów. Nie w tym dramat, lecz w tym, że nie potrafimy często twórczo pytać, dlaczego takie, a nie inne ujęcie świata w sztuce okazało się błędne. Krytyka literacka zamiast uwzględniać stosunek poznawczy sięga po niegodne człowieka metody potępienia, lub plucia. Natomiast wiadomo od wieków, że kto umiał rozwiązać „błąd”, ten znosił tzw. „blokaty” wkraczania w wyższe porządki poznawcze.

STANISŁAW DRÓŻDŻ — „Zapomnienie”

Z A P O M I N A N I E
Z A P O M I N A N I
Z A P O M I N A N
Z A P O M I N A
Z A P O M I N
Z A P O M I
Z A P O M
Z A P O
Z A P
Z A
Z.



Jan Leżachowski

NA WYSOKIM NIEBIE STAŁ PEŁNY KSIEŻYC, ale horyzont płonął jeszcze zielonkawozłotym światłem zachodu i drzewa w sadzie kreśliły na murawie nieznanne ścieżki; uciekać nimi było niepodobna, ukryć się przed nimi nie sposób.

Mężczyzna siedział na ławeczce przed szkołą i palił papierosa. Smakował liście nowego tytoniu, spoglądał w coraz bujniejszy zmierzch, błdził po latach, w których żyła jego żona — gospodarska córka umiejąca podolać każdej robotce, a czuła jak królowa.

Cisza była. Ciężba ciszy. I stary słyszał kląskanie słowika w żywopłocie od strony cerkwi, pod sercem rosła mu bezimienna tklivość — przecucie nieuchronności końca człowieczych wysiłków, gorzka radość walki, obliczona ściśle na kartce nagrobka, przedłużona o synowskie lędzwia nieśmiertelność, trwanie w dobrej pamięci krewnych i sąsiadów lub tylko półtrwanie, nadtrwanie w zapobiegliwej krztęności gatunku, bo ktokolwiek i kiedykolwiek powie słowo „ludzkość” i pomyśli o urodzajnym prochu ziemi, zachowa w owym zamyśleniu, chociaż przez chwilę, także nas. Cisza była i od zagasłej wojny niósł się na wschód nikły dźwięk samolotów — jakby ktoś przeciągał po szycie gorącym czołem, przywoływał drogami krwi nadzieję lepszego świata: bez znaków na sztandarach, bez strachu; i pachniała trawa, i lśniły mlecznymi krawędziami ostre dna butelek wmurowane w przykrycia słupów bramy.

Drogą szła kulejąca postać; pojawiała się i znikła w cieniu drzew, znów kąpała się w miesięcznej poświacie i wydawało się wtedy, że kroczy nie ta sama, lecz narodzona na nowo i utoczył ją ze złudy i rosy, z białej piany przekwitłych sadów pył księżycowy, żeby mogła istnieć jedynie w dziedzinach świata i przepadać pośród drzew i zabudowań, znów trwać, znów iść bezpowrotnie.

Nauczyciel nie podniósł się. Przesłonił dłonią papierosa, czekał. Kobieta zbliżyła się do ogrodu — zobaczył mignięcie uśmiechu — otworzył furtkę:

— Dobry wieczór.

— Dobry wieczór, jeśli to możliwe — odpowiedział.

— Przyjmiecie?

— A czy myśmy was kiedyś nie przyjęli?

Kobieta zawahała się jakby biegnąc kulawo wstecz pamięci zmarszczyła czoło — siejące się śniado i czarno krechy: na podobieństwo minionych dni i nocy, nadziei i rozpacz w owych nocach i dniach. Westchnęła.

— No nie.

— Idźcie do mieszkania. Tam jest Marek. Was wpuści.

— Daj Boże zdrowie panu profesorowi i całej rodzinie. Po-kuśtykała na zatyłe.

— Dziękuję — odrzekł; pomyślał, że i on, i syn, nie mogą narzekać, a tamtej, umarłej, zdrowie nie jest potrzebne, nic nie jest potrzebne, nawet pamięć ich obu, nawet ręce ich obu, pielęgnujące pagórek murawy w kącie cmentarza, nikt, nic.

I widział mu się ciąg lat, którym potrafiła się stawić, uśmiech kołyszący w wielkich oczach małe twarze ludzkie, jego twarz, i orzeźwiające patrzeć tych oczu, długie nogi podobne, kiedy siedziała zaplótłszy dłonie na łydkach pod kolanami, do odwróconych rzeźbionych w złocie królewskich szachowych figur.

Widział ją żywą: pielącą w ogrodzie, mieszającą ciasto na chleb, rozstępującą się w intymności nocy; nie umiał wyobrazić jej sobie martwej, chociaż sam wbijał gwoździe nie chcąc pozwolić, by ktokolwiek obcy niepokoił ją we wiecznym gospodarstwie; wbijał czule — tak jak się trzyma u lekarza operowaną nóżkę dziecka: cicho, cicho, jeszcze chwila i nie będzie bolało; widział ją żywą i przypominał dni jej nieobecności jak sny we snach, których nie można żałować, bo nie można się z nich zbudzić.

Po niebie ześliznęła się gwiazda. Od strony lasu gruchnęła karabin, rozległy się nawoływania i tętent; zbliżyły się, w pół drogi do wsi przystały, pokoczyły się w kierunku rzeki.

Mężczyzna wyszedł przed żywopłot i nasłuchiwał. Przestrzeń milczała. Lopotała tylko krew człowieka i wydzwaniały swoje sygnały uszy. Zawrócił do domu.

W kuchni blimała postawiona na podłodze pod stołem kopciółka, chłopiec pucował buty, kobieta wymacała ziarenka różańca; na jego wejście szybko podnieśli głowy.

— Zdaje się, że jest niewyraźnie — powiedział.

— A co?

— Był strzał pod lasem. I wygląda na to, że ktoś uciekał za wodę.

Chłopiec pochwycił buty, zaczął wsuwać; popatrzył spod czoła na nieruchawą kobietę i złożony na przypiecku kabat.

— To pewnie wasi, ciotko. Ubierajcie się, nie będzie dziś nocowania.

Nauczyciel podszedł do okna; stara podłoga skrzypnęła, płomień lampy polizał nogę stołu. Mężczyzna cofnął się, przesunął kopciółkę, usiadł:

— Chyba nie będzie trzeba — powiedział spokojnie.

— To po co ja wsuwałem te bu... — zaczął chłopiec i nie dokończył: gdzieś blisko zaterkotał karabin maszynowy. Na podwórzu zawarczały psy.

— Jezu Mario — chlapięła baba sztylhupiąc do drzwi; mocowała się z zamkiem.

— Marek, żyto. — Mężczyzna fuknął lampę, przekręcił klucz. Wypadli na podwórze.

Chłopak przywołał ujadające wilczury i wpuścił je do sieni, podał rękę ojcu. Biegł wzdłuż żywopłotu, przez sad, ku kłosaćcu się łąnowi. Przykucnęli w brudzie.

Dudniły kroki, wilczury szcekały coraz głębiej; rozległ się strzał i skowyt psa, potem milczenie.

— Tato. Matko Boska! — półkrzyknął chłopiec.

— Cii. — Nauczyciel przycisnął głowę syna do żeber.

Musieli ich dojrzeć albo wiedzieć wszystko: trzech obwiszonych patronaszami mężczyzn gnało w stronę zboża.

— Ręce do góry!

Wstali, podnieśli ręce. Szli popychani lufami automatów.

— Pod ścianę!

Podwórko zapełniał uzbrowieni po zęby mundurowi i chłopcy w rozchełstanych koszulach, z grubymi kołkami w łapach. Było jasno i nauczyciel gotując się na śmierć widział ustawiane w sadzie cekaemy, polyskujące buty zaległej w żywopłocie obstawy, prowadzoną kobietę.

— Jeszcze jedna — powiedział najgrubszy z eskorty i pchnął babę pod mur.

Było jasno.

Chłopiec czuł mrowienie kręgosłupa, prawie nie oddychał; liczył krople potu spływające z czoła ojca, chybnięcia pleców kłęczącej sąsiadki. Ze schowka w drewutni garbaty zalegniony chłop wypędzał krowy.

— Cisza! — krzyknął rudy młodzik: zapewne dowódca. Chłopi zniknęli za bramą, mundurowi wypiężyli się na baczność.

Było jasno; wysoko najwyżej bzykał samolot, po sadzie przeleciał wiatr i zatrzepotały krótko liście; od jesionów przy studni padały na pnie strzeliste cienie — wydłużały

się i kurczyły, jakby liżąc najeżony, zwinięty w kółko pod sionką zewłok psa.

Młodziak rozstawił szeroko nogi, ręce zasunął pod pas. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat: nad wargą sypał mu się miedziany puch i zdawało się, że jest opuchła, czy dalekie i jakby śpiące na jawie zimowym snem. Długo nabierał w płuca powietrze i potem z sykiem je uwolnił:

— My od was nie chcemy nic. Opuście ręce, nie bójcie się.

Nauczyciel wytarł czoło, chłopiec oparł się o ścianę, kobieta wyprostowała chromą nogę, podwinęła zdrową i usiadła.

— My nie chcemy krwi. Ale wasi ludzie przychodzą z za wody, napadają spokojnych, zabierają naszym chleboczyńcom krowy. — Klepnął się po tyłku, za którym wisiał pistolet. — My na to nie chcemy pozwolić, my warujemy. Ale dzisiaj się im udało. Nasze dzieci są bez mleka. I dlatego myśmali zabrali wasze krowy.

Ciągnąca z południowego horyzontu chmura zasnuwała księżyc, wszystko przybrało brudny piaskowy kolor. Ryż powiódł wzrokiem po niebie, gwizdnął przez zęby wysoko, sucho — bardziej zasyczał niż gwizdnął. Postaci w sadzie zaczęły się skrywać za drzewami, obstawa wpelzać w żywopłot i znikać.

— Wy idźcie do swoich dowódców i powiedzcie im, żeśmy byli. A teraz odwróćcie się do ściany i oprzyjcie o nią ręce.

Kobieta obróciła się na kolana, przypadła do butów młodzika.

— Panie, ja swoja. Panie, oni dobre ludzie. Nie zabijajcie.

— Milcz, mówię!

Dwaj ze świty chwycili kalekę pod ręce i wepchnęli do sieni. Teraz za drzwiami rozszczeł się drugi pies.

Chłopiec poruszył się, jakby chciał również skoczyć za drzwi — trwało to ułamek sekundy, potem wyciągnął ręce i oparł się o mur; mocno zacisnął dłoń na dłoni ojca.

— Nie ruszajcie się. Liczcie do dwudziestu. Głośno.

Ojciec i syn milczeli. Może terkotał im tylko w mózgach urojony licznik, zbliżając czas do kresu, do punktu, w którym ich odrębne linie zaczną się przyciągać, zetkną się, spłotą, staną się wieczną prostą.

Po drugiej stronie szkoły zaklaskały kopyta, zadziewał orczykiem wóz. Stary gwałtownie odwrócił głowę: nikogo. Szarpnął rękę syna.

— Mareczku!

— Tato!

Stali pod ścianą, obejmowali się. Potem chłopak głosem jakby wydobyłym spod obrzymiej zasy powiedział:

— Chyba nie wrócą, tato.

JAN LEŻACHOWSKI

„Lipiec po maju”, Warszawa 1972 r.

METAFIZYKA OTWARTA

Bogdan Warwas

K LUCZEM do najnowszych wierszy Henryka Wolniaka jest sensualizm. Jedność myślowo-uczuciowa poetyki autora „Żywca” i „Sezonowej obniżki wycia” została przeprowadzona przy pomocy wyobrażeń i spostrzeżeń zmysłowo sprawdzalnych.

Aisthesis — wrażenie zmysłowe — jest artykulacją tajemnicy istnienia tejże poezji; wyróżnia jej wewnętrzną logikę.

Wszczęświat Henryka Wolniaka ujęty jest w kłamry esencjonalnych obrazów — wewnątrz tej poezji przybiera kształt podwójnych, przenikających się wzajemnie, spiral; wyznaczają one przeciwległe motywy: ciało — dusza; odczytanie struktury owych spirali jest

możliwe poprzez prześledzenie tychże motywów w obrębie wszystkich wierszy.

Motyw ciała, z całą pełnią wtajemniczenia w nie, zawarty jest w wierszach ilustrujących byt człowieka na tle świata postrzegalnego. Częstym kontrpunktem tegoż motywu jest ironia. Motyw „duszy” nie zawiera znaczeń utajonych: wszystkie określenia jej przynależne — wraz z elementami humoru à la Danse Macabre — podkreślają wyrazistość książek.

Medium języka Henryka Wolniaka wyrasta z najbardziej zaczepnej i zarazem zdobywczej instancji, której bezgraniczne podlegamy: Światła.

Wzrok poetyki autora „Żywca” i „Sezonowej obniżki wycia” okazuje się najaktywniejszym zmysłem: — dostarcza nam największej ilości informacji o otaczającym nas wszech-świecie; Oko tegoż poety jest zmysłem agresywnym: atakuje otoczenie swoją osobiwą świadomością — wydzierza wszechświatowi jego wygląd, takim jakim jest naprawdę, bez żadnych ogródek, a będąc zarazem sumą wzajemnego wpływu inte-

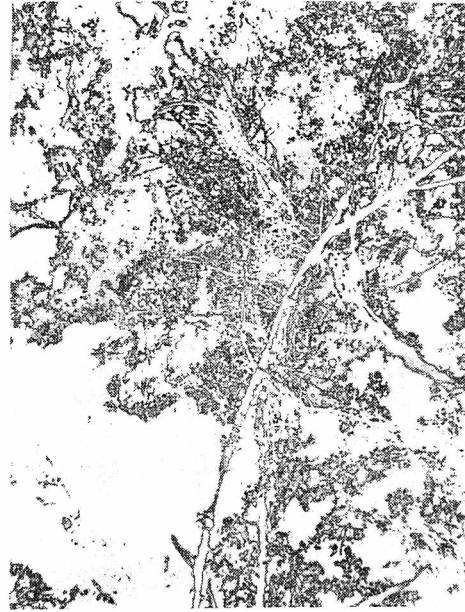
lektu na widzenie i widzenia na intelekt sprawia, że ich wzajemna, nigdy niekończąca się korektura daje fascynujące jasnowidzenie.

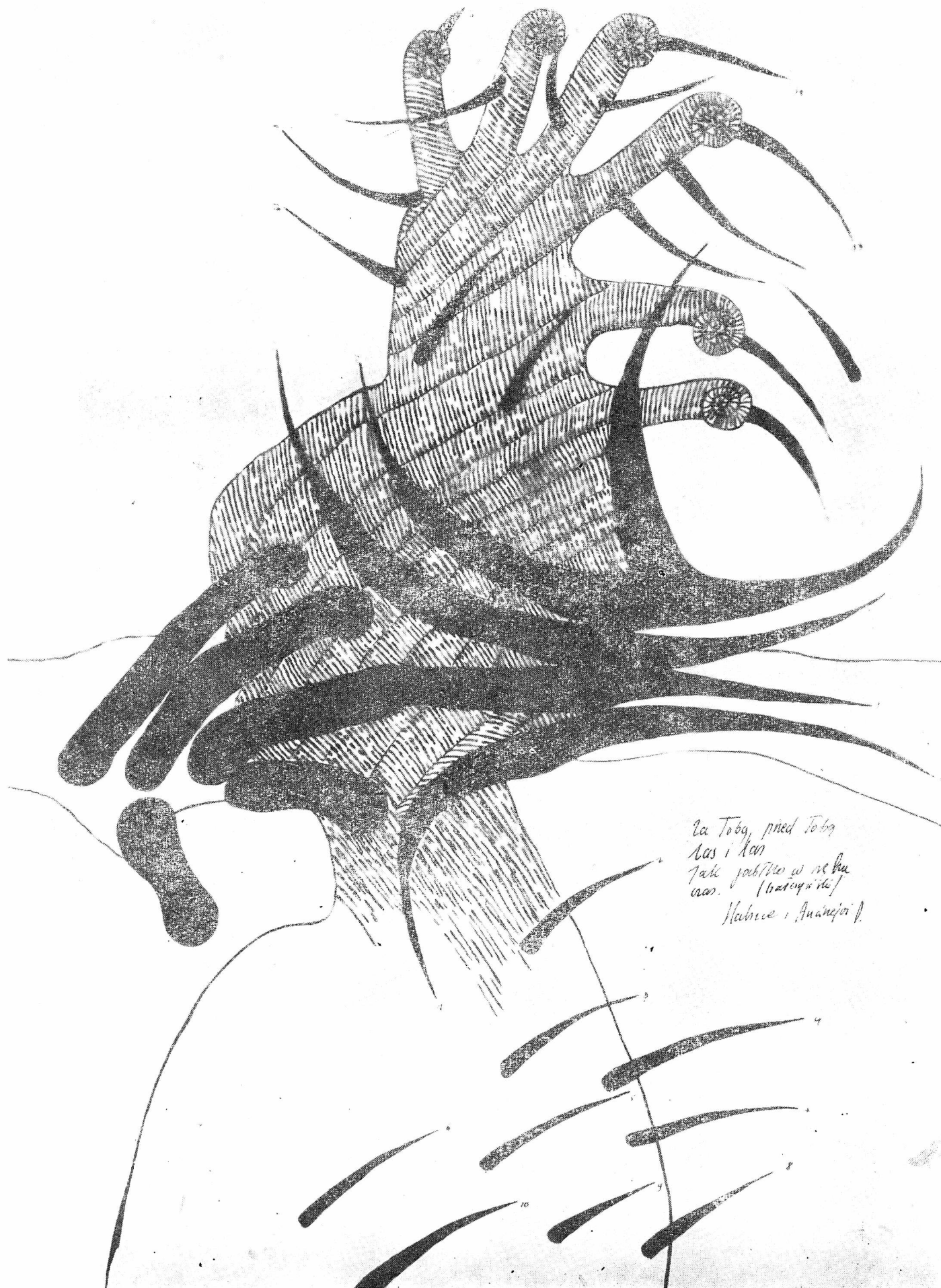
Metafizyka Henryka Wolniaka — można by rzec — otwarta — nadaje charakter naturze estetycznej jego wierszy wyznacza im specyficzne akty sakralizacji. Akty te, poprzez wszystkie znaczenia i symbole z nimi związane, odwołują się do doświadczeń ogólnoludzkich: rekonstruuje, w drastyczny sposób, rzeczywistość, wraz z jej czasem i swoistą fabularyzacją.

Świat poezji Henryka Wolniaka odznacza się wielowarstwowością — problematyka egzystencjalna, w niej podejmowana, nie jest skończoną całością: autor z wielką finezją przedstawia fragmentaryczność człowieczeństwa; zaangażowanie poety w problematykę społeczną objawia się w wierszach-obrazach wykluczających i dopełniających się wzajemnie.

Takie widzenie i doznawanie wszech-świata organizuje całokształt sztuki poetyckiej autora „Żywca” i „Sezonowej obniżki wycia”.

Fot. M. DANYS





Kiedy przychodzi na człowieka ten „czas nieuleczalny”, który w „imiona włosów sypie ziarna maku” i kiedy „rozżarzona młotami blacha” stygnie, ucieka się wtedy na ową wyspę, gdzie wspierające słońce przyjaźni rozproszy „sen na który każda noc za krótka”.

Nie udało się Jankowi Czopikowi-Leżachowskiemu ucieczka, nie zdążył uleczyć „pod wspierającym słońcem” swego własnego „ujścia człowieka w bezzwrotne morza”. Zawiodło to, skąd czerpał, zdawało się niewyczerpalną siłę życia i twórczości — s e r c e. To niecierpliwe serce poety. Zawiodło, nim zdążył zrealizować przynajmniej część tych planów jakie sobie naznaczył. A chciał jeszcze wiele, może za wiele, przecież zdążył opublikować trzy tomy wierszy (czwarty w wydawnictwie), czterech książek prozatorskich, wielu słuchowisk radiowych, recenzji, artykułów itd. Jego ostatnia powieść „Góra — dół”, najlepsza w dorobku prozatorskim, wzbudziła niezwykle zainteresowanie, był to znaczący symptom rozwoju jego talentu, ważne osiągnięcie artystyczne. I jak zwykle, u szczytu swoich możliwości twórczych, upomniała się o niego wieczysta kraina w y b r a ń c ó w Boga. Nie zdążył ukończyć czterdziestu lat po tej stronie. Ile ma przed sobą? To także zależy od tych, którzy pozostali.

W ostatnim swoim tomiku pisał Czopik: „moja śmierć jest jeszcze rozproszona / się zbiera dopiero moja śmierć”. Na pewno nie przypuszczał, że z b i e r z e się tak szybko. Nikt nie przypuszczał, z wielu oddanych mu i przyjacielskich, z tych którzy go zapamiętali, i póki spotkania, będą trzymać Jego rozsypane między bliźnimi odłamki wielkiego, zawsze życzliwego serca.

ANDRZEJ SAJ



Fot. ARCHIWUM

Jan Czopik

Każdą długą drogą

Stedowi
Więc jesień nas otacza chłopcy coraz ciśnieją
choć serce pilne wciąż
Zachód
na drzew nieszporny spokój włożył nazwy własne
i nam
w imiona włosów sypie ziarna maku

Więc chłopcy sen
na który każda noc za krótka
a przecież trzeba się budzić

i w brzaskach
od oczu skrzepłych jak zburzona kuźnia
uchodzić
do ponownego miasta

Więc wędrowanie wszędzie chłopcy więc jedynie
pod wspierającym słońcem
i w namlotnych slotach

Leczy się w s z e d z i e te delty straszliwe —
ujścia człowieka w bezzawrotne morza

Fot. M. DANYŚ



Moje i nasze

Jak daleko odchodzą
ci którzy odeszli
A byli
jeszcze wczoraj
lub
przed
stoma laty

W synów pamięci uległej jak wosk
w kuszącej głębi
woskowych ekranów

Pochód ucina biała ściana płót
gluche napisy
konstelacje mroku

Dalej już tylko na siedząco
w salach:
gabinet figur —
nasze gospodarstwo wieczne

Grażyna Mulczyk

Pod powieką dnia

Widzę cień wędrujący
pękają usta w nieznane strony
ręce
które nie trafiają do siebie
Widzę ludzi porzuconych
przez własne twarze
i ziemię podpierającą nasz dom powietrzny
Widzę strach rozwieszony nad nami
klamstwo
Widzę jasno
nuty na niebie zamiast Boga
Bolą mnie oczy od patrzenia
Zerwijcie światło ze mnie

Krystyna Piotrowska — grafika (z wystawy w „Kalamburze”)



Fot. J. LAJSTOWICZ

Ewa Sosnowska

Fatamorgana

Bywałeś moją
Fatamorganą
Miałeś skrzydła
jak u Malczewskiego

Kolorowo malowane
Uroniłeś jedno
pióro
Więc podniosłam
i przypięłam
Poleciałam za tobą
w płomieniach

Orgazm

To był ciepły wiatr
skrecony radością
niewiedzialnie rozpinał guziki wstydu
silniejszymi podmuchami
rozcinał skórę
przylegał jak chciał
wędrował w głowie i brzuchu
kręcił się w szparach
szeptał nierozumnie
uśmiechem pukał
rozstępowały się ściany uległe ruchowi
potem dreptał w miejscu wygodnym
zatrzymał się nagle
i chciwie lkał

Daj mi taki wiersz
w którym obudzę się jasna
taką linię słów
po której przejdę na drugą stronę
bez lęku
daj myśl na usta
niech zazielenią się płuca
i oczy wypal na wszystko
daj mi taki wiersz życia
który chodzi przede mną boso

Joanna Małoszczyk

Lekcja biologii

na lekcji biologii
matka urodziła dziecko
a potem je oblizała
dziecko było abstrakcyjne wprowadzie
(ale to nikogo nie usprawiedliwia)
dzieci obgryzały paznokcie
dłubały w nosie
nauczycielka pogapiła się w okno
po tablicy spływała krew
dzieci kręciły się już w ławkach
oblizane dziecko otworzyło oczy
zadzwoił dzwonek

nie mam domu
nie pożadam żony bliźniego swego
skoszoną trawę w nocy
biorę w dłonie
i nasycam zapachem
ściany mojego życia
nie kradnę
nie zabijam
nie dzielę z tobą stołu
a miłość staje się nagle
i odchodzi w ciszę
nie znam ojca swego
i matki swojej
wszystkie kwiaty z całego życia
zbiegają się do oczu
raj czyniąc
będę kiedyś dzień święty święcił

Robert Gułowski

Aforyzmy i charaktery

Każdy nasz klient — nie mój klient.
Oto nasz szpan.

W TROSCE O ROZWÓJ NAUKI
(WNIOSEK RACJONALIZATORSKI)

W związku z tym, że w obrębie poszczególnych nauk humanistycznych (np. w pedagogice) pojawiają się jeszcze czasami spory i dyskusje — proponuje się, dla zaprowadzenia ciszy i harmonii, przedsięwziąć następujące kroki:

- 1) podzielić i zastrzec dla poszczególnych grup naukowców lub koryfeuszów pojedynczych pola kompilacji naukowej (wyjaśnienie: kompilacja naukowa jest to rodzaj kompilacji uprawianej przez uczonych formalnie do rozwijania nauki uprawnionych, przy użyciu naukowych metod kompilacyjnych);
- 2) pola doszczętnie skompilowane wycofywać z eksploatacji, oddając je do ew. zalesiania, albo ugorując je przez czas dłuższy (po 10 — 15 latach mogą być jak nowe, gdy się je użyżni modnym nazewnictwem);
- 3) jeżeli się już pojawi taka możliwość — co teoretycznie jest prawdopodobne — przekazywać użytkownikom nowe działki do celów kompilacji zorganizowanej.

✱

Przy swoich szefach, choćby nawet młodszych lub równych mu wiekiem, zawsze zachowuje się tak, jakby był młodszym bratem, potrzebującym rady i opieki.

✱

Grzmoty dobiegające z pobliskiej czołobitni były brane prze niewtajemniczonych za rozpoczynającą się burzę mózgów.

TEORIA NAUKOWA

Słynne czarne dziury istnieją też prawdopodobnie w przestrzeni społecznej. Bo inaczej, gdzie się podziewa tyle codziennego zapachu, pomysłów, dobrej woli ludzi, tego pozytywnego oraz intensywnego promieniowania biohumanoelektromagnetycznego?! Nic, tylko te kłębki energii psychospołecznej właśnie zapętlają się i znikają po drugiej stronie, w czarnych dziurach, w antyprzestrzeni czy też tej wtórnej (odwrotnej) przestrzeni społecznej, niedostępnej naszym działaniom i zwykłym narzędziom poznania. Tyle tylko, że się to wszędzie tam gromadzi i nie ginie — trwając w bycie bezinteresownym, bezzasadnym i bezpowrotnym.

Na okładce:

Fotogram Zygmunta Szretera

✱

Ogłoszenie: Komplet starogrecki, do odstępiania niezbyt tanio. Wenus z Milo i pies aportujący brakujące części.

✱

Konik-Garbusiek długo nie mógł się zdecydować. Kim być: Koniem Trojańskim, czy może Pegazem? Po bardzo długim namyśle (o mało nie zdechl od tego z wyczerpania i głodu) postanowił zostać... Królem Ryszardem Trzecim.

✱

Przy ogólnym kryzysie energetycznym tyle energii wkłada się codziennie w zacieranie różnic!

✱

Znak: Nakaz jednomyślnego kierunku rozwoju.

✱

Psychoterapia grupowa. Uzyskiwanie błędnego poczucia bezpieczeństwa przez jednocześnie podniesienie jednej ręki na znak zgody w krótkich odstępach czasu (po czym się znowu zasypia, snem niespokojnym, przerywanym, osobnym).

✱

Zamiast burzy mózgów czasem wystarczy dobrze przewietrzyć stare komórki.

✱

Gonić w stopę (życiową).

CYGAN-METEOROLOG
(graszka)

Z wiatrów różę
Pogodę wróżę.

Fot. Z. TRZCINSKI



Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, ul. Z. Janiszewskiego 14; pok. 14/15, tel. 202-240 (w. 22-40); poczta wewnętrzna: P-9(S). Redaguje zespół w składzie: GRZEGORZ DĄBROWSKI, JERZY GIRULSKI (redaktor naczelny), LECH ISAKIEWICZ, MACIEJ KAŁUSZYŃSKI, MAŁGORZATA KRAMKOWSKA, JAN KUROWICKI (z-ca redaktora naczelnego), MARIA MARCOLLA (sekretarz redakcji), MARIA PLUTA, ANDRZEJ SAJ, STANISŁAW SEMICZEK-SZULC, MAREK J. SZEWCZYK, TOMASZ WIELICKI. Opracowanie graficzne: STANISŁAW RYSZARD KORTYKA, przy współpracy ANDRZEJA KLIMCZAKA-DOBROWIAŃSKIEGO. Redaktor techniczny: HILARY NAWOTKA.

AFORYZMY

Człowiek jest wielki o tyle, o ile wielka jest prawda, którą rozumie.

*

Łatwiej akceptujemy powiedzenie: „nic, co ludzkie, nie jest mi obce”, aniżeli: „wszystko, co ludzkie, jest mi bliskie”.

*

Niektórzy tak bardzo przejęci są zdejmowaniem innym masek że zdzierają również twarze.

*

Kto pyta siebie, nie błądzi. Rzadko pyta siebie, kto często pyta innych.

Fot. P. LEWANDOWSKI



„Kampania cukrownicza trwa...” z gazet wołały wielkie tytuły. Wielkie i groźne — wcale niesłodkie. Szedłem jednak dalej nie zważając na buraki cukrowe. Co kampania, to kampania, to może się nawet przerodzić w wojnę cukrowniczą — pomyślałem w duchu, wchodząc na uzbrojony teren budowy, na którym przygotowano front robót. Podobno tutaj rozpoczęła się walka z czasem w bitwie o mieszkania. Rozpoczęta bitwa była już skończona, sądząc po rozrzuconym w bezwładzie sprzęcie i braku na polu bitwy armii budowlanych. Zapewne niedobitki armii przerzucono na teren nowej bitwy. Już kończy się jesień i taki niedouczony cywil jak ja, nie wie, że skończyła się akcja „Każdy kłós na wagę złota” i trwają przygotowania do walki z zimą. Generał mróz w tym roku nas nie zaskoczy. Sztab akcji czeka z palcem na białym guziku. W walce z zimą nie oddamy guzika!

Powstają sztaby, powstają hasła, powstają akcje, kampanie i wojny. A najważniejsze są rezerwy, gdyż jak mówił Napoleon, ten wygrywa bitwy, kto ma większe rezerwy. „Można przegrywać bitwy, lecz należy wygrywać wojny” — to też cytāt z Napoleona. Jednak cōż z tego zrozumiemy taki przeciętny cywil jak ja, który jedynie kiedyś zrozumiāl sens akcji „W”.

CYWIL

Szybciej niż myśl (2)

Streszczenie poprzedniego odcinka:

Ppor. Węszyk po otrzymaniu silnego ciosu od cienia, został zatrzymany przez patrol MO. Po zwolnieniu, Węszyk w poszukiwaniu aferzysty Niewiadomskiego wpadł na trop grupy przemytników, którzy ustawicznie przemycali alkohol na mecze piłkarskie WKS „Śląsk”.

Ppor. Węszyk podobnie jak Niewiadomski nie dawał za wygraną. Sprawa nr 102181 oznaczona w aktach kryptonimem „X?”, nie nabierała rumieńców. Węszyk zmienił taktykę — rozpoczął poszukiwania dziewczyny (żony?) Niewiadomskiego. Sprawa ta utkwiała w aktach pod kryptonimem „XY?”. Po głębszej analizie (połóweczka), Węszyk dzięki sile dedukcji wywnioskował, że Niewiadomski może mieć więcej niż jedną dziewczynę. To słuszne rozumowanie oparte na dedukcji i analogii utkwilo w aktach pod kryptonimem „XYZ?”. Sądząc z pajęczyn opłatujących wymienione skoroszyty, Węszyk wybrał strategię pajaka. Poprzez którą teczke biegnie najkrótsza droga do Niewiadomskiego? Podporucznik Węszyk wybrał wyjście losowe. Wziął monetę i rzucił. Nie omylił się — los wybrał teczke „XYZ?”. Trzydzieści pięć milionów, dzielone przez dwa, razy jedna trzecia, to równa się około sześciu milionom kobiet, które mogą być kobietami (dziewczynami) Niewiadomskiego. Uff, los bywa ślepy. Węszyka od intensywnego myślenia rozboleła głowa. Wyszedł na spacer poszukać „kogutka”. Po długim spacerze, w czasie którego próbował wyłowić z tłumu Niewiadomskiego, kupił kogutka z różną. Nie przestała go boleć głowa, a na domiar złego rozboleł żołądek. Jego wierny, służbowy pies Victor również nie był w najlepszym nastroju. Victor co prawda podjął trzy lata temu trop, lecz Niewiadomski ciągle nie tkwił jeszcze w psich zębach. Zdegustowany Węszyk udał się z Victorem na budowę, gdzie mieli ćwiartkę etatu w Spółdzielni „Ochrona Mienia”. Noc zapowiadała się tajemniczo. Słychać było odgłosy świerszczy ślizgających się po śniegu. Księżyc podejrzliwie przyglądał się Węszykowi i Victorowi.

C.d.n.

MAKOKO